

HALINA KRAHELSKA

Polski strajk

HALINA KRAHELSKA

Polski strajk

...Przede wszystkim powiedzieć mu, że nie jest sam... Kassner szukał słów, liczył na palcach: musiał mówić językiem, w którym dopiero sylabizował, przed chwilą wtór tamtego pomógł mu. Ale już słyszał: **NABIERZ OTUCHY!**

André Malraux,
Czasy pogardy

Ofiaruję tę powieść milionom obywateli polskich pozbawionych możliwości ludzkiego życia i poprzez cały niewystawiony tragizm współczesności pragnę — za pomocą tej książki — powiedzieć im słowami francuskiego pisarza: „NABIERZ OTUCHY”

PARĘ SŁÓW WSTĘPU

Parę lat temu opracowałam artykuł na temat — prawdy o stosunkach pracy.

Artykuł ten roił się od liczb, zawierał urzędowo stwierdzony materiał w zakresie stanu ochrony pracy.

Dziś reportaż ten odzwierciedla również stosunki w fabrykach polskich. Obralam tę formę literacką, żeby zawarte tu dzieje dosięgły łatwiej umysłów i serc obywateli Rzeczypospolitej, żeby silniej do nich przemówiły, niż to może zrobić suchy protokół lub opracowanie naukowe warunków pracy w Polsce.

Stosunki takie, jak tu przedstawione, napotyka się w różnych ośrodkach przemysłu polskiego. Czasem — w całej rozpiętości odmalowanego tu wachlarza dotyczą jednej i tej samej fabryki (jakże wtedy upośledzonej!). Częściej występują w pewnych tego wachlarza fragmentach.

Reportaż ten jest więc równocześnie znów prawdą o stosunkach pracy w Polsce.

Czy książka ta ma na celu siać przygnębienie? Przenigdy! Każdy przecież rozdział jej świadczy wymownie o tym, że poprzez mrok i poniewierkę ludu — idzie już ku nam jasny wiew, świta lepszy dzień...

Jest to niedaleki już dzień zupełnego połączenia, dokonanej jedności robotniczo-chłopskiej.

I. PAN MAJSTER

Fabryka pod firmą „Szpilka” była fabryką wyrobów trykotażowych. Wyrabiano tam swetry, komplety ze swetrów i spódniczek, czapek z szalami, pulowery, bieliznę z cienkiego trykotu, dziecinne sukienki, pończochy, rękawiczki. Fabryka ta należała do najmłodszych w Polsce, powstałych w latach kryzysu. Prawdopodobnie w ankietach instytucji naukowo-badawczych, zawierających pytania co do kapitału zakładającego fabrykę, zostało o niej zaznaczone: „obcy kapitał”; dziwić się też można, że po tragicznych zdarzeniach, wyrosłych ze stosunków w tej fabryce, prasa mieszczańska antyrobotnicza nie podchwyciła tego motywu: „obcy kapitał”. Tak długo, tak wygodnie, tak bezpiecznie pokrywało się bagno naszych stosunków fabrycznych ową „obcością” kapitału! Otóż kapitał w spółce akcyjnej p. f.¹ „Szpilka” był międzynarodowy, jak każdy inny kapitał, różnorodny, mieszany: składowe części tego kapitału były: polskie, żydowskie, austriackie,

¹p. f. — pod firmą. [przypis edytorski]

a zapewne i jeszcze inne. Natomiast dyrektorem zarządzającym z ramienia spółki (jednocześnie akcjonariuszem) był Polak, Bronisław Baczyński. Baczyński był zupełnie podobny do olbrzymiej większości kierowników przedsiębiorstw przemysłowych w Polsce i poza Polską. Zespół robotników fabryki stanowił dużą grupę: od razu przyjęto przeszło 300 osób, a potem porozszerzano jeszcze niektóre oddziały i dodatkowo przyjęto kilkadziesiąt kobiet. W ogóle kobiet pracowało tu więcej niż mężczyzn.

Ponieważ fabryka znajdowała się na krańcach miasta, dokonywano werbunku robotników w znacznej mierze z najbliższych wsi. W tej też drodze dostało się tu dużo młodziutkich dziewcząt, wyciskanych z wiejskich domów rodzicielskich przez potworną nędzę chłopskich rodzin. Niedożywienie, nędzne warunki egzystencji tych rodzin powodowały widoczne karłowacenie młodzieży, tak iż szesnastoletnie dziewczątka wyglądały często (co do wzrostu i tuszy) tak, jak dwunastoletnie dziecko zamożniejszego domu. Te „smarkatki”, jak je przezywano w fabryce, obciążały życie załogi robotniczej istną plagą pełnej bezradności i bezbronności. Szły przecież do pracy na warunkach zupełnie dowolnych: przyjmowano je jakoby „na naukę” do wyrobu trykotaży i przez całe miesiące nie pobierały żadnej zapłaty. Pracować musiały natomiast tyleż godzin, co reszta robotników i robotnic i przy tym dodatkowo spełniać wszystko, co im kazał majster lub starsza robotnica.

Dziewczęta tu zazwyczaj bywały dodawane jako „uczennice” do trykotarek. Zamiatanie pracowni po pracy, przynoszenie wody do picia, inne posługi, to wszystko obarczało dziewczęta. Od nich też, od tych małych, rozpoczęła się ta swoista poniewierka kobiet, która wyrasta, jak grzyby po deszczu, na podłożu lat kryzysowych. Zaczęło się to od początku, w kilka tygodni po uruchomieniu fabryki. Właśnie wtedy rozszerzono wykończalnię, początkowo zbyt ciasną i do tej pracy w wykończalni poprzyjmowano dużo kobiet i dziewcząt.

Do pracy przyjmowali w fabryce wyłącznie majstrowie. Ich to było zadaniem i ich przywilejem. Majster wykończalni miał w portierze fabrycznym swojaka, całkiem mu powolnego. Nazywali się obaj podobnie: majster był Zielnik, a portier — Zielak. Zgodnie z widoczną między nimi umową, już portier Zielak odsortowywał odpowiedni materiał kobiecy dla wykończalni, a raczej po prostu płciowy dla Zielnika. Drobne, zachudzone dziewczynki przychodziły bardzo często z matką lub ojcem, żeby omówić warunki. Dla tych dziewcząt ze wsi, a nawet i dla rodziców taki portier, czysto odziany, mający na tytoń, odżywny, był „panem”. Toteż prośenie, pochylanie się do ręki itp. już tu się zaczynało. Zielak robił srogą minę, wydymał pogardliwie usta, a wzrokiem bardzo bystrym, wzrokiem „specja” lustrował dziewczynkę. Jeżeli była niebrzydka, świeża, pomimo zabiedzenia, albo miała w sobie jakiś przyrodzony pieprzyk — decydował sam od razu. Do ojca (lub matki) mówił poważnie: „No, mała wygląda do rzeczy! Może się nada do pracy, musi się przykładać. Zostawicie ją tu: przedstawię ją majstrowi do lepszej pracy. Byleby się starała, to będziemy dla niej jak ojciec”... Rodzice dziękowali, kłaniali się, ocierali czasem łzy ze wzruszenia, kiwali małej surowo, żeby się przykładała; sami zaś już kombinowali mozolnie, jak potrafią podziękować panu portierowi.

Mała zostawała, pełna podniecenia, nerwów i najróżowszych nadziei. Prędko też mogła przystąpić do pierwszej, zasadniczej w tej fabryce czynności: przykładania się, nie to, żeby do pracy, ale do majstra Zielnika w wykończalni. Portier był rzetelny w podziale funkcji, obowiązków i przywilejów: pilnował swej z majstrem umowy. Robotnicy nie doszli nigdy, jaki w tym wszystkim udział miał portier, poza świadczeniami „w naturze” od wiejskich rodziców: chyba swojak opłacał go pieniędzmi. Z dziewcząt bowiem Zielakowi nie wolno było nigdy naprzód skorzystać, chyba tylko czasem po majstrze i to kiedy majstrowi nie chciało się przykładać do takiej.

Ale mała przechodziła całą szkołę całkiem planowo. Po odejściu rodziców portier kazał jej zawsze wejść do portierni i tam dokładnie ją ze wszystkich stron badał: czy zwięzła w sobie, czy nie rozkładana, czy nie brudna na karku; czy pod pachami i pod piersiami nie cuchnie. Niektóre dziewczęta na pierwsze dotknięcie odpowiadały ostro, protestem i krzykiem. Nie dlatego, żeby im o samo dotknięcie szło, bo przecież swawole zdarzały się niejednej, choćby najbardziej dziecinnej dziewczynie, w domu, na zabawie, z rówieśnikami, ale tu, gdy przyszła do pracy, zarabiać — takie coś! Niejedna krzyknęła i porwała się zaraz lecieć w ślad za ojcem, ze skargą na „cygaństwo”. Portier na ostre sposoby miał

Bieda, Dziecko

swoje ostre. Jeżeli dziewczyna była „udana”, przytrzymał ją mocno, ręką usta zatykał, a do ucha syczał: „Ty głupia! Ty kurwa! Myślisz, że ci kto uwierzy!! Durna! Nie rozumiesz, że pracy inaczej dziś nie dostaniesz; musimy wiedzieć, czy wszystko w sobie masz w porządku, czy się też już masz na rozsypki z bękartem zasranym! Durna! Ładna jesteś i to majster może, owszem, uwzględnić, że lepszą robotę dostaniesz, ale jak ty tu przychodzisz hrabinę odstawiać, to wont i w te pędy, a już my tu tak po mieście roztelefonujemy, żebyś się nigdzie nie dostała do pracy!”

Najczęściej dziewczyna słabła w oporze, czując tę zorganizowaną przemoc i władzę tych ludzi nad całą sprawą jej pracy i przyszłości.

Portier rzadko komu o tym opowiadał, ale raz w gronie swoich przyjaciół wygadał się z tym, że mu tylko trzy dziewczyny od tego „badania” uciekły: dwie — nie przyszły więcej, ale ich nie żałował, nie było to nic nadzwyczajnego: trzeciej szkoda mu było, bo była prawdziwie śliczna, cała jak ulana i sam miał na nią wprost straszliwy apetyt.

Ta wróciła zaraz tego dnia, weszła podstępnie, niby chciała: ale za nią wsunął się jakiś drab i... Majster podał, że musiał draba obić, ale to się nie zgadzało, bo z czasu zdarzenia wypadło, że majster chodził potem przez kilka dni poharatany na twarzy: chłopak musiał go dobrze nabić. Był to dziewczyny narzeczony.

Można było jednak wierzyć portierowi, że nie zdarzyło się, na paręset, więcej niż trzy kobiety, które by postawiły z miejsca ostry opór.

Reszta była pokorna, powolna², obojętna. Albo wiedziały już, że tak w fabryce bywa, albo im było wszystko jedno: tu i tam w życiu, w służbie u państwa czy w fabryce — wszędzie poniewierka. Często speszzone młode dziewczęta poddawały się „badaniom” portiera Zielaka z zakłopotaniem, powtarzając raz po raz:

— Ale co też pan? A po co to? A czy ja tu po to przychodzę?

Przyjmowały też nieraz to za wstęp do przymusowego stosunku i rozglądały się — w lęku czy za jakąś pomocą? Często bywały to jeszcze dziewczyny, które nie знаły mężczyzn.

Ale portier wyprowadzał takie z błędu:

— Nie bój się: nic tu z tobą teraz nie zacznę, bo widzisz, mam otwierać każdemu: to nie mogę!...

Tak dotrzymywał umowy ze swojakiem.

Lubił zaś takie zetknięcia z dziewczętami, pasjami to lubił, bo miał pobudliwy temperament i to było dla niego najlepsze zajęcie.

Zdarzały się też oczywiście i dziewczęta, które chętnie się poddawały. Przecież były i takie, które przez życie zostały już wtrącone w poniewierkę dorabiania lub zarabiania na życie tą drogą...

Ale większość, ogromna większość przychodziła tu tylko po pracę, z wielkiej potrzeby. Niezależnie od tego, że nie śmiała stawiać żadnego oporu, głęboko odczuwała całe postępowanie z nimi jako piekącą krzywdę. Tym więcej, że przytłaczająca większość z nich (niedożywione, zabiedzone, niedorozwinięte z nędzy, długo wyczekujące na swój period³ i dojrzałość) nie odczuwała jeszcze wcale w tym wieku żadnych potrzeb płciowych.

To u portiera — to było przecież dopiero małe preludium. Portier właściwie przyjmował dziewczynę warunkowo: czy zostanie, to powie jej po paru dniach majster.

Na zobaczenie się z majstrem dziewczyna czekała czasami w portierni przez wiele godzin. Czasem — zależnie od różnych okoliczności — majster nie mógł „rozstrzygnąć” jej sprawy przed końcem pracy. Zresztą zależało to w ogromnym stopniu od samopoczucia fizycznego i erotycznego pana majstra w danym dniu i od stopnia jego nasycenia, od stanu nerwów, a wreszcie — od stopnia urody i ponętności kandydatki do pracy. Zazwyczaj też majster znajdował prędko chwilę, żeby (po telefonie od Zielaka, że nań czekają) wlecieć do portierni „obejrzeć towar”.

Nigdy się jednak przy tych odwiedzinach przed żadną dziewczyną w portierni nie zdradzał ze swych zamiarów. Zwłaszcza — jeżeli w tym czasie mogło się znajdować w pobliżu paru robotników. Wpadał zawsze, z reguły, z miną bardzo surową, bardzo wyniosłą: nasrożone brwi, ostre spojrzenie. Ale też wzrok miał bystry: sekundy starczyło, żeby obej-

²powolny (daw.) — tu: poddający się czyjejś woli; posłuszny. [przypis edytorski]

³period — miesiączka. [przypis edytorski]

rzec i dać pierwszą decyzję. W poszczególnych, szczególnie „pilnych” wypadkach decyzja taka brzmiała: „Masz zaczekać: dziś jeszcze cię potrzebuję do pracy”. Zwykle zaś polecał przyjść nazajutrz. Prawie nigdy już nie odrzucił dziewczyny: tak polegał na badaniach Zielaka, czy też pokrywał się z jego gustem; selekcja była dość dokładna. W każdym razie, czy tego, czy następnego dnia miała być dziewczyna przyjęta, warunek był ten sam. Albo w portierni — to już po godzinach pracy — po wypuszczeniu absolutnie „każdej żywej duszy”, jak mawiali — albo jeżeli pilno mu było, tego dnia podczas pracy, to u niego w kantorku.

Zasadniczo majster Zielnik, jako człowiek rozsądny, rozważny, wszystko świetnie obliczający, nie lubił robić u siebie tych spraw w kantorku i nie bywał rad, gdy go tak pilnie „przychwyciło” podczas godzin pracy. Miał wiele doświadczenia z dziewczętami — „pierzwiastkami” — i wiedział, że zdarzały się między nimi „trudne” i albo krzyczeć, albo i bronić się mogły. Wolał nie ryzykować przy świadkach. Gdy już jednak tak się zdarzało „na pilno” i „w ryzyku”, to bywał naprawdę straszny: nie mogło być dźwięku „na opór”. Wpuszczał dziewczynę do kantorku, zamykał od wewnątrz drzwi i mówił całkiem stereotypowo:

— U mnie, nie wiem czy słyszałaś, nie ma dla dziewcząt pracy bez tego — i nie czekając wcale na skutek tych słów, załatwiał szybko swoją sprawę: byle na czym, na podłodze, na materiale, jeżeli się zdarzył w kantorku. Często przy tym musiał usta dziewczynie zacisnąć albo potem dobrze szturchnąć dla karności.

Portier-psycholog ostrzegał go zawsze przed tą pośpieszną i niekonspiracyjną metodą „angażowania” w kantorku „do pracy”, zwłaszcza jeżeli wyczuwał „trudny” wypadek. Radził „przesilić” się i odłożyć. „To ci nawet dobrze zrobi, bo i tak w latach jesteś, Wojtek, do czterdziestki nie masz daleko, a przecież często sobie użyjesz”...

Toteż zazwyczaj sceny te odgrywały się w portierni. Ale też bywały to sceny bardzo urozmaicone i bardzo — dla dziewcząt — dramatyczne. Tylko że dzielny majster Zielnik taki znów miał temperament, że jemu każdy dramat jeszcze więcej wigoru dodawał. I też tylko jeden taki wypadek notowali w swej sekretnej kronice „służbowego” używania, że dziewczyna stawiała dziki opór: gryzła, rwała, drapała, krzyczała tak strasznie, że majster musiał ją zwolnić, wprost wypuścić z rąk, bał się. Ale wtedy (było to już późno wieczorem) — wypadł zaraz za nią na ulicę: rozjuszony, straszny, wściekły tak, że mógłby ją za tę „niekarność” zamordować. Dopadł jej, uchwycił ją za warkocz i włókł przez pustą ulicę do posterunkowego, ledwo żywą, drżącą, oglupiałą. Dowlókl: wylegitymował się posterunkowemu, może włożył mu tam coś do kieszeni i choć dziewczyna, szlochając, przedstawiała już policjantowi swoją krzywdę, wcale nie spieszył się i upewnił policjanta, że dziewczka bezwstydnica: zarażona, po dniu napastowała ludzi wychodzących z fabryki, ciągnąc do siebie. Nierejestrowana prostytutka na pewno, bo jeszcze taka butna, pewno nie bita, a zarazę roznosi!... Przywłókl ją tu, żeby pan władza odesłał ją na jaką komisję, przecie jako majster nie dopuści takiego zgorszenia pod fabryką. Nic nie pomagały łzy i prośby dziewczyny, zakłęcia na rodziców, na swą niewinność. Policjant wprawdzie wyglądał dobrodusznie, ale jak miał jej dać wiarę? Dziewce, kiedy pan majster z wiadomej fabryki, z dobrego stanowiska tak świadczy?! Trzymając dziewczynę za rękę, zagwizdał, a tymczasem uspakajał ją: „No, nie płacz! Miałas to z nim co, że taki zły na ciebie?! Nie płacz, wielkie rzeczy! Jeżeli nieprawda i jesteś zdrowa, to cię męczyć po szpitalach nie będą, a że zapiszą, to i tak by cię złapali!”

Tymczasem majster szybko odszedł, nie chcąc przewlekać sprawy ani do policji w sprawie tej stawać: bał się widocznie spotkania rodziców małej z portierem i takich różnych okoliczności.

Wtedy mała runęła na kolana przed policjantem i obie ręce mu całowała, przysięgając na wszystko — na duszę, na Boga, że to jej się stała taka straszna krzywda i żeby ją puścił do domu, że jutro z rodzicami tu do niego przyjdzie i oni przecie, rodzice, fałszywie nie potwierdzą... Zanosila się tak od płaczu i tak jęknęła, że policjant pochylił się, podniósł ją i dopiero świadomie zajął jej w oczy. Napuchnięte od płaczu, przerażone, dziecinne, biedne te oczy targnęły mu wnętrze.

— No to idź — powiedział, odmachując ręką policjanta, który nadszedł na gwizdek — może i nie kłamiesz! Na darmo tylko, ot, fatygowałem kolegę...

Przemoc, Kobieta,
Mężczyzna

Przemoc, Władza, Kobieta,
Mężczyzna

Krzywda, Współczucie

Nigdy się nie dowiedział majster Zielnik, że ta dziewczyna uniknęła katowni. Ale długo wspominał z Zielakiem tę juchę, tę „cholerną hrabinę”, przez którą go pół dnia głowa bolała.

Częste, powszechne wprost zjawisko oporu miało zapewne różne postacie, ale przeważnie dziewczęta wobec dwóch tęgich mężczyzn, gdzie jeden drugiemu sekundował, czuły tego oporu zupełną beznadziejność. Łzy zaś ich i jęki niesłuchanie podniecały mężczyzn — i tego, który był aktywny i świadka. Świadek zresztą — nierzadko tuż zanosił przed władzę swą prośbę, ażeby mógł też po nim dostąpić. Zielnik jednak odrzucał to kategorycznie i bez wyjątku: argumentował zaś odmowę wprost imponująco: „Co ty sobie myślisz, że będziemy obaj tu młodą panienkę tak niszczyć! To się po mnie nie okaże! Ona u mnie dobrze będzie miała... A ty się jej masz czas jeszcze zasłużyć...” i dla pewności, wychodząc, zawsze zabierał ze sobą dziewczynę. Jeżeli był bardzo zadowolony z nowej znajomości, to nawet czasem dawał takiej na tramwaj albo na parę cukierków. Majster Zielnik bardzo sobie chwalił to wszystko i mawiał wśród bliskich, że jak dwa czy trzy razy w tygodniu nie ma takiej okazji, to zaczyna mu coś najwyraźniej w zdrowiu dolegać, a jak dobrze się układa, no to apetyt i dryg do pracy ma pierwszorzędnym.

Taka była „organizacja pracy” w fabryce w stosunku do dziewcząt.

Odmienne postępował majster z kobietami, mężatkami. Tu był ostrożniejszy, bo przecież w grę wchodzić mógł mąż. Poza tym dorosła kobieta więcej miała rozumu, mogła szkodzić. Jednak kryzys i słabe zorganizowanie załogi fabrycznej stawały walnie do pomocy Zielnikowi. Oczywiście, chodzić mu mogło zawsze tylko o młode albo wyjątkowo urodziwe mężatki. Przechodząc koło starszych albo brzydkich, niezgrabnych, splotał tylko, a gdy już musiał takiej coś w warsztacie naprawiać, to wymyślał głośno: „Wredna baba, że tylko rzygać!... Jędza tylko do miotły”... Szczególną zaś pasję budził w nim widok kobiet ciężarnych, zwłaszcza starszych. Wprost wybuchał pasją: „Też durnia znalazła, parszywego widać kozła, że jej brzuch robi! Tfu, paskudztwo takie!” Czasem robotnica, strasznie zawstydzona, poprawiając fartuch, w pąsach na umęczonej twarzy, próbowała go opamiętać:

— Jakże to można, panie majstrze! Przecie z męża to, ślubne, pan wie!

Nie było słów, które by bardziej majstra mogły rozszłościć. Potrącało to snadź⁴ o jakiś jego uraz psychiczny.

— Ślu-u-bne... — wykrzywił się nad przerażoną — to myślisz, że smaczniejsze, jak ślubne! Chyba ci mordę zawiązał, jak do ślubu poszedł!! Mnie ślubnego baba windą do siebie nie wwiezie, jak mi już obrzydła! Dla wiary i tej państwowości, to mogę księdzu do mszy wysłużyć albo datek na budowę kościółka, ale to co mam z ciała mego, to wara! To moja własna rzecz! — Długo pamiętał potem takiej robotnicy rozmowę.

Natomiast koło upatrzonej, apetycznej mężatki umiał chodzić wcale precyzyjnie. Ale dłużej tygodnia nie zgadzał się nigdy zaczekać. Zaczynał zawsze od różnych udogodnień: dobierał lepszy materiał, lepiej narychtowywał warsztat, ciągle zaglądał, jak praca idzie. Robotnice po tym poznawały już, co się święci i przyglądały się milcząco i ponuro takiej delikatnej, zwykle prędko skutkującej ofensywie.

Najdłużej trwała historia z Genką Kurzajówną, z którą potem ożenił się Władek Malczyk, robotnik tej samej fabryki. Żyła już wtedy z Malczykiem, tylko na wesele i ślub musieli uzbierać: niełatwo to księdza zadowolić, a i zabawić się potem należy! Wszyscy jednak w fabryce wiedzieli, że to już jest małżeństwo i tylko tyle, że oficjalne nazwisko miała jeszcze własne, panińskie: no i nie mieszkali jeszcze razem, bo i on, i ona stali⁵ u ludzi kątem. Genka była na podziw urodziwa: jasna blondynka o włosach jak kopa ciemniejszej złocistej przędzy, a cerę miała jakby brunetki: śniadą i ogorzałą, w lecie, i w zimie. Do tego jeszcze miała uroczy uśmiech i oczy prawie czarne, a strasznie bystre: oczy te widziały jakby poprzez całą fabrykę, daleko, daleko, w świat. Tylko biedna była bardzo, bardzo źle ubrana, cała zcerowana i zlatana. Zarabiała w tygodniu 6–8 złotych, więc na miesiąc wypadało to jej poniżej czterdziestu złotych: jak było wyżyć? A jednak nic od nikogo nie przyjmowała, nikt jej nic nie kupował. Niejeden do niej się przed Malczykiem zabierał, ale twarda była, surowa, odpaliła każdego.

⁴snadź — widocznie. [przypis edytorski]

⁵stać u kogoś kątem — pomieszkować, nie mając środków na własne mieszkanie. [przypis edytorski]

— Ty! — mówiła. — Ty sobie pożyjesz i pójdziesz dalej, co? A ja zostanę z dzieckiem przy swoich zarobkach... Jeszcze na to mam czas! — Młoda była, nie miała dużo nad lat dwadzieścia, nie lgnęła do chłopów: miała czas i wybór mogła mieć.

Tylko Malczyk, jak nastał do pracy, tak prędko ją sobie pozyskał. Był cichy, nie śmiał się, nie żartował, w przejściu za nogi nie łapał, ale swoje sposoby, swoje sekrety musiał mieć, a może tak mu się nad wyraz udało. Widziano ich tylko parę razy pod fabryką na rozmowie i już zaraz potem można było ich zobaczyć na ulicy pod rękę. Niebawem schodzili się rano przed pracą, czekali na siebie, a rozstając się, całowali długo, mocno i serdecznie.

Z tego, jak patrzyli na siebie, każdy prędko poznał, że już ze sobą żyją. Wiedział o tym i majster. Długo przemyślał, jak się do niej zabrać. Inna była, onieśmielała go. Próbował grzecznością, usługą, względami, tak i tak. Próbował naliczyć przy wypłacie więcej niż należało podług stawki. Nie działało nic. Minął przeznaczony na zabiegi tydzień, minęło dwa, trzy: nic. Sprawa nie posuwała się nawet o krok. Genka bardzo grzecznie przyjmowała wszystkie starania, ale nie pozwalała na najniewinniejszą rzecz. Jeżeli np. niby niechcący dotknął jej piersi, brała mocno jego rękę, podkreślając tym, że wie, o co mu chodzi i szorstko ją odsuwała; nie miał jeszcze z żadną tyle zachodu i mitręgi⁶.

A podobała mu się tak, że aż pościł, nie chciał żadnej i jak zniecka Genkę dojrzał, to czasem aż zatykało go z gwałtownej chęci, żeby podstępem lub przemocą ją wziąć. Ale przemocą — to się bał Malczyka. Malczyk był młody, mocny chłop, przy tym strzelec, w mieście znali go, mógł się bronić; bał się Malczyka. Ponury przy tym był Malczyk i przez to podwójnie bał się go majster Zielnik, bo z takim nigdy nie wiadomo, co zrobi. Odrzucił więc przemoc. Ale, że zwykłym targiem — za grzeczności, za lepszą pracę — nic nie mógł uzyskać, obrał drogę podstępu.

Tu wyzyskać mógł tarcia, jakie się już zarysowały wśród załogi robotniczej, do niedawna zorganizowanej „jak jeden mąż”, w związku prorządowym. Teraz ten i ów już się powymykał do związków opozycji, do „jednolitego”, jak mówili, „lewego, robotniczego frontu”. Chwiał się już i Malczyk, a raczej nie chwiał, tylko sobie ponuro i skrupulatnie wszystko ważył w głowie.

W tym czasie władze bezpieczeństwa aresztowały jednego z robotników (Jackowskiego) nie wiadomo za co, ale chyba też za takie coś, jak ten front. Majster Zielnik czuł jakoś wężchem, że w tej sprawie ręce maczał delegat fabryczny, Gałkowski, choć nic nikomu o tym nie było wiadomo i nikt mu nawet takiego przypuszczenia nie poddał. Ale w pogoni za Genką wyostrzyły się majstrowi wszystkie władze jego intelektu i te jakieś niejasne powiązania w rozgrywkach międzyzwiązkowych, którymi się dotychczas nic a nic nie interesował. Chwytać zaczął, jakby macał je poprzez mgłę, ale już namacywał. Tu zaświtała mu zbawienna myśl. Pozyskać Genkę przez jej miłość dla Malczyka. Zastraszy ją: że Malczykowi już to samo grozi, co Jackowskiego spotkało. Nie mógł tego zorganizować sam, a że z Gałkowskim miał sztamę (czasem sobie razem zabawić się chodzili) postanowił prosić o pomoc Gałkowskiego. Od tej chwili sprawa ruszyła piorunem. Wprawdzie Gałkowski oświadczył, że Malczyka nikt nie tknie, bo jako mały jeszcze chłopiec był w Orłętach Lwowa, z Orłętami w Powstaniu Śląskim i teraz jest dobrym strzelcem. „Nie można więc obliczać — mówił przezornie — żebyś Genkę mógł mieć przez jakieś coś z Malczykiem, Malczyk mocny jest i nikt mu tu nic nie zrobi”.

Majster tłumaczył, że przecież nic takiego nie myślał, żeby szkodzić Malczykowi, a już zwłaszcza z tym, by nie poszedł do delegata!! Tylko chciałby Genkę na ten temat postraszyć. Liczy tak na babskie kochanie i przy tym kochaniu na babską, choć u najmocniejszej dziewczyny, strachliwość.

Prosi też tylko, niech Gałkowski z Genką o Malczyku pomówi, żeby męża strzegła i tylko niech zwiąże ją słowem, żeby się przed Malczykiem nie zdradziła. Przecie wiedziała, że Gałkowski i Malczyk między sobą byli jakoś niewyraźnie. Gdy zaś już Gałkowski rozmówi się z nią i da mu o tym znać, to już on sobie dalej poradzi, bo już w takiej życiowej potrzebie bywał, żeby strachem o kochankę babę dostawać.

⁶mitręga — mozolna i nieefektywna praca. [przypis edytorski]

Gałkowski nie bardzo wierzył w powodzenie tego projektu, ale Malczyka nie lubił i chętnie by mu rogi przykleił; z Zielnikiem zaś trzymał sztamę i czasem nawet po forszę do niego chodził, jak miał potrzeby.

Zawinęli się obaj po prostu błyskawicznie, Majster zresztą prosił przyjaciela, że już naprawdę dłużej nie może wytrzymać mitręgi z tą dziewczyną: nie jada i nie sypia, a nawet gorzej, bo sypia z nią, ale tylko w wyobraźni. Raz nawet zaczął gadać do niej we śnie, przekonywać, aż mu żona, ta wredna czarownica, awantury robić poczęła. Gałkowski zapytał rzeczowo, jak daleko majster jest z Genką: czy wprost mówił już jej, czego chce, czy próbował? Zielnik z wielkim wstydem musiał przyznać, że nigdzie jeszcze z nią nie doszedł, że nawet żadnego wyraźnego słowa jej nie powiedział, tylko tak koło niej chodził, jak koło jakiejś damy: we wszystkim jej dogadzał.

Gałkowski poszedł wywołać do siebie Genkę (miał w fabryce taką małą komórkę delegacką), a majster przykucnął u siebie w kantorku, pełen oczekiwania. Zwymyślał też od ostatniego starszego robotnika z oddziału, który zapukał i prosił go na salę, bo coś w świetle przy jednej maszynie się zepsuło. Zerwał się jak tur od stołu, rycząc: „Nie pójde, żebyś wiedział, psia twoja mać! Zęby mnie drą jak cholera, a te ścierwa mi tu z lampami!” Robotnik uciekł jak zmyty.

Tymczasem Gałkowski odbył krótką, lecz jakże płodną w skutkach rozmowę. Gdy Genka usiadła przy biurku, dostrzegła na jego tłustej, żółtawej twarzy mieszany wyraz smutku i współczucia.

— O co idzie wam? — zapytała.

— O waszą prywatną rzecz — odparł z wielką serdecznością.

Doznała ukłucia w sercu.

— Redukcja?!!!

Zrobił pauzę, wygrywając jej przerażenie. Ta mocna, dumna dziewczyna dziś była w złej nerwowej formie.

— Nie — powiedział łagodnie. — Nie to i wam nic nie grozi, to jest wam osobiście, Geniu, ale, o ile was rozumiem... — tu zajrzał jej w oczy skromnie i z szacunkiem — więcej was obchodzi niż osobiste, Malczyka sprawy...

Genka milczała, uczuła nagłą słabość, a pot kroplami zbierał się jej przy brwiach, koło nozdrzy, w skroniach pulsowało. Oj, jakże to wszystko inaczej jest teraz, kiedy już zaszła!...

Czuła, że nie ma dziś nawet połowy własnej, normalnej woli, energii i odwagi.

— Więc to Malczyk ma być do redukcji? — szepnęła, przecierając ręką twarz. Gałkowski widział bladość, i słabość, i poty.

— Ależ nie to: tylko gorzej... Wiecie, dał się zamieszać do, no wiecie, do wywrotowej roboty!... Tak wypadkiem słyszałem rozmowę w kantorze: wnioskuje, że już go śledzą...

Genka, z pochyloną głową, usiłowała zebrać całą przytomność umysłu. Tak. Teraz, kiedy już zaszła, kiedy chcieli niedługo się pobrać, teraz właśnie mogą jej go wziąć. Wstała.

— To wam dziękuję za ostrzeżenie. Zaraz powiem o tym Malczykowi.

Gałkowski chwycił ją za rękę.

— Nie! — zawołał z pośpiechem. — Tego mi zrobić nie możecie! Tylko ja sam byłem wypadkiem przy tej rozmowie dyrektora przez telefon! Tego nie można zdradzić, bo przecież tak wysypać nietrudno delegata i wszystkie nasze sprawy ogółu!... Tego mi za moje współczucie i zaufanie zrobić nie możecie! Nie powinniście! — dodał rzewnie. Genka stała.

— Więc jakże? Na co nam tedy to wasze ostrzeżenie?

Wy tłumaczył jej, że ona może dużo zrobić, gdy się zaopiekuje teraz już naprawdę Malczykiem, nie odstąpi go wcale w wolnych godzinach, no i prędzej już zawinie się z tym weselem i do wspólnej chałupy. Tam już go sobie upilnuje...

Zaznaczył przy tym, że z rozmowy wnioskuje, jakby to był tylko taki wywiad, pierwszy sygnał: trzeba się mu przyciąć... Westchnął przy tym i dodał:

— Zresztą wiecie, Malczyk mnie nie lubi! Nie wprowadzajcie mojej osoby w tę rozgrywkę. Ja dla was to zrobiłem... A jak tam u was z tym weselem? Jeżeli brak wam jeszcze pieniędzy, to zawsze mogę pomóc, jestem wam życzliwy...

Serdecznie, gorąco dziękowała mu Genka. Poszła do warsztatu, pełna troski i najgorszych przeczuc.

Gałkowski natychmiast powtórzył Zielnikowi całą rozmowę w szczegółach. Radził mu teraz kuć żelazo póki gorące: dziewczyna wyraźnie wystraszyła się o swego chłopca. Ale żądał od majstra, żeby nie próbował z nią gadać ani dziś, ani jutro, bo się połapie, że są w znowie i jeszcze im obydwu ten Malczyk mordy rozkwasi.

Zielnik kręcił się jak w ukropie.

— To jeszcze mam czekać! I na co?! A jak oni zabiorą się i wcale z miasta wyjadą?

Gałkowski był nieugięty.

— Poczekaj. Ja myślę, że będzie sama szukała pomocy: przyjdzie tu do mnie o pożyczkę, a ja ją do ciebie odeślę... Musisz czekać! Tymczasem sobie weź inną. Mało to masz na oddziale?

Zielnik siedział ponury.

— Takiej nie ma — odparł tylko. — Nie to, żeby była znów taka już piękna, tylko tak mnie rozochociła tym oporem, tym koło niej uwijaniem!

Tymczasem zdobył ją już następnego dnia. Wiele okoliczności na to się złożyło.

Genka zagabnęła wieczorem swego chłopca, co sądzi o Gałkowskim i za co naprawdę tak się na niego boczy. Gałkowski jest dla niej życzliwy, nawet kiedyś proponował jej pomoc, pożyczkę.

Malczyk przestraszył się i musiała go długo uspokajać, że między nią a Gałkowskim nigdy nic takiego nie było: po prostu dobry człowiek, no i przecież delegat. Malczyk długo, długo milczał, a potem powiedział jakby z wielkim trudem:

— Genka, wielkie to są wszystko bolączki i nie mogę dziś jeszcze nic mówić. Ale to ci powiem, że w swoim sercu, to już go mam za psa, za ostatnią kanalię i...

Aż zachłysnął się, tak mu ciężko szły te słowa.

— I to ci powiem, że jeśli mnie kochasz, a wiem, że kochasz, miła, złotko — pogłaskał ją szorstką ręką po jasnych włosach — to nigdy i nic, żadnej pomocy od tego drania, ścierwa nie przyjmiesz!... Bo wiedz, że ja, jak tylko będzie można, sam sznurek mu na szyi sobaczęj zacisnę: ot masz!...

Nie pytała go więcej, tylko utuliła w ramionach i długo jeszcze siedzieli na schodach, mówiąc o swoich sprawach.

Malczyk chciał też się śpieszyć ze ślubem: wiedział już o niej, cieszył się, choć z czego? Życie takie ciężkie! Ale zawsze to ich, to wspólne ich będzie dziecko, będą je hodować...

Genka przytulona twarzą do jego ramienia, napłakała mu po cichu dużą, ciemną plamę łez na kurtce. I z przerażeniem myślała wciąż o tym, jak przez tę ciężką diabli biorą jej twardość, jej tężyznę, jej wytrzymałość!...

A następnego dnia, po namyśle, sama zgłosiła się do kantorki majstra Zielnika. Zielnik osłupiał, speszył się, prosił ją żeby siadła: ręce mu drżały.

— Czym mogę służyć?

Genka, której Malczyk zabronił wdawać się z Gałkowskim, przyszła prosić majstra o pożyczkę.

Zielnik aż zaniósł się wewnątrz od serdecznego, bezgłośnego śmiechu: przecie Gałkowski dopiero chciał to organizować!! Sprytny mózg jego podpowiadał mu już sposoby najskuteczniejszego dobrnięcia teraz do pożądanego celu. Dał jej mówić.

— Panie majstrze — powiedziała, jękając się — to taka prośba, do której pan wcale nieprzygotowany... Ale pan był zawsze ze mną taki... — zawahała się i dodała kompromisowo — uprzejmy... to panu powiem: chcemy się z Malczykiem pobrać, nawet już jego jestem; brakuje nam trochę, niedużo pieniędzy... Czy pan majster zaufały mnie pięćdziesiąt złotych? Odrobię akuratnie, a jak pójdę już do niego, to mi już mój zarobek nie będzie taki do życia konieczny... Każdego pierwszego przyniosę panu tu dziesięć złotych do kantorki...

Wiedziała przecie o nim wszystko, o tym Zielniku i bardzo się dotąd pilnowała, żeby go jakoś do siebie nie ośmielić. Ale teraz, w ciężkiej trosce i potrzebie, skoro odpadła pomoc Gałkowskiego, upatrzyła sobie właśnie w nim jedyne źródło pomocy, sposób dobrnięcia do kochanego na stałe — sposób obrony i upilnowania Malczyka.

Zielnik tkliwie i ojcowsko położył (gorącą) rękę na jej ręce, opartej na stole. Tymczasem miał już cały plan i wewnątrz zupełnie się uspokoił. Nie mignęło mu nawet w myśli, żeby tak, w pośpiechu lub przemocą — gdzieżby tam! Będzie to miał lepiej!

— Panienko — powiedział czule — wszystko wiem. Chętnie z pomocą przyjdę. Ale się boję, że naprzód to całkiem inna pomoc będzie panience potrzebna!... Bo są złe rzeczy...

Zakręciło się jej w głowie — znów ta słabość! O czym on myśli? Że zaszła? Skądby wiedział? Nic nie widać jeszcze! Czy też to, co mówił Gałkowski?

— A więc i pan... — zaczęła, ale przerwał jej:

— Nic tu nie można teraz mówić; bo wie pani, tu ściany mają uszy! Poproszę tu panią, jak ludzie się rozejdą. To tylko mogę powiedzieć, że jest poważna rzecz.

Genka półprzymtomnie dopracowała do końca dnia. Majster podsycił umiejętnie jej zdenerwowanie i niepokój. Podszedł raz, rozplątał zasupłane nici i szepnął: „Rozumiem wszystko, rozumiem. Proszę się trzymać!”...

Nie śpieszył się też, gdy weszła do kantorku po skończonym dniu pracy i odczekaniu, aż wszyscy wyszli. Malczyk wprawdzie czekał na nią, jak zawsze, ale powiedziała mu, że musi trochę zostać, by przygotować sobie na jutro robotę: trudno jej teraz wstawać wcześniej. Kiedy tak kłamała mu i wyprowadzała go skinieniem reki, czuła wewnątrz jakby grozę, coś tak ścinało ją we środku jakby mroźnym dreszczem. Nie podejrzewała jednak o nic Zielnika: wszystkie jego zaloty, pamięć o tych wszystkich uprzykrzeniach ustąpiła przed nawałem gryzącego niepokojem i troski o Malczyka.

Usiadła, skubiąc nerwowo chustkę.

— Słucham, panie majstrze. To o Malczyku...

Majster, spocony i czerwony z podniecenia (od godzin obmyślał sobie cały plan tej strategii), opowiedział jej, jak zdobył wiadomość, że Malczyk będzie tej nocy zamknięty („wdał się poza panią z wywrotowcami”), że zdradził mu to taki jego kolega, dawniej z wojska, co teraz pracuje na policji: on zaś, Zielnik, przez wielką życzliwość dla Genki, uprosił tego kolegę, by się wstrzymał do samej nocy: zobaczy się z nim późnym wieczorem, no i... chciałby dla niej tego Malczyka wykupić... Więc tedy widzi ona, że większej niż pożyczka potrzebuje od niego usługi!...

Genka dyszała ciężko. To była prawda! Na pewno tak! Nie mogła wątpić. Gałkowski przecież — przypadkiem — tak samo słyszał. Mignęła jej w mózgu ostra jak igła, bolesna, niejasna myśl: spółka?! Odrzuciła ją jako dziecinną, głupią. Majster i delegat, też coś!! Malczyk ma do Gałkowskiego uprzedzenie... Nie wolno zaniedbać żadnej deski ratunku...

Majster czekał parę sekund: odczekiwał całe to jej myślenie, bębniąc dyskretnie palcami po stole... Przecie ważyło się właśnie, czy mu uwierzy. Czy nie odkryje tu zмовy, pułapki? Musiał być cierpliwy, żeby się nie zdradzić żadnym ruchem.

Nagle Genka wyciągnęła dłoń i powiedziała cicho, załamującym się głosem:

— Niech pan pomoże, poratuje, panie Zielnik.

Wtedy majster wyprężył się, odął wargi i powiedział wymijająco:

— To przecie tylko od pani zależy...

Wstała.

— Jak to?

— No, przecie pani musi wiedzieć, że ja się w pani kocham i tam dalej. Chodzę przecie koło pani miesiąc z okładem jak koło jakiej hrabiny!

Stała nieruchomo: malutkie czarne plamki, jak śrucinki, latały jej, wirowały w oczach. W śmieszny sposób przypomniała sobie: „nie miałam dziś nic w ustach”... A powiedziała tylko:

— Więc, proszę pana. Taka pułapka... Albo tak, albo tak...

Patrzyła spokojnie, jak majster przekręcił klucz w drzwiach. Nie bała się go. Ale nie miała przecie też wyjścia. Powiedziała gorzko:

— Tylko niech już pan da pokój o miłości! Przecie wiem, jak pan to sobie urządza z każdą...

Wtedy Zielnik, który za długo napracował się na to, żeby ją potem mieć taką przybitą, zgaszoną, spłowiałą, bez resztki życia — użył zręcznego fortelu, by ją wyprowadzić z równowagi, podniecić.

— Ja nie używam przemocy — powiedział drwiąco i odkręcił klucz — to tylko z pani najdobrowolniejszej zgody i miłej chęci! Jak pani nie chce, nie nalegam: proszę!... — wskazał ręką na drzwi. — Ale też proszę nie mieć pretensji, bym się dziś dla gagatka trudził, od żandarmów go wypraszać!

Nasrożył się przy tym marsowo, a widząc płomienie gniewu na twarzy Genki, ruch jej piersi od wzmożonego oddechu, zamknął znów drzwi ze słowami:

— Widzę, że decyduje się pani... Niewielka to rzecz!

Wziął ją, pełną najistotniejszego męczeństwa: drżącą z wściekłości, z paznokciami wbitymi we własne dłonie: wargami, przyciętymi przez zęby... I kiedy brał ją, uczuła nagle w sobie dawno spodziewany, wyczekiwany, wyglądany, nowy tajemny ruch: ruch dziecka... Wtedy tylko, na krótką chwilę, po twarzy jej spłynęły, jak falą, gorące łzy...

Zielnik bardzo zadowolony, pomógł jej troskliwie wstać i ogarnąć się. Nie pomylił się: opłacało się koło niej chodzić. Odczuwał nawet do niej jakby coś w rodzaju wdzięczności, ale zaraz się połapał, że to przecie tylko ona ma być jemu — dziś i nadal — za wszystko wdzięczna: za życzliwość w pracy; za wyróżnienie w pracy i teraz; za pomoc (urojoną) w sprawie Malczyka. Zatrzymał więc ją jeszcze przez chwilę: usadził na krześle.

— Zmęczylaś się, co? Ale nie tak źle było, powiedz?!

Genka milczała: to wszystko nie dałoby się ująć w żadne słowa. Majster mówił dalej:

— No, nie pierwszy jestem u ciebie, więc już rozumiesz się na takich rzeczach. Malczykowi nie radzę ci się zwierzać, bo na nic żadne awantury: wylałbym jego i ciebie... A ciebie bym żałował!... On pójdzie na bandytyzm, bo to mu z oczu patrzy, ale ciebie na ulicę, dla każdego zawszańca, szkoda: fajna z ciebie dziewczyna! Otóż tak ci powiem. Dziś wieczór jego sprawę, jak obiecałem, załatwię. Wybronię go na mur. To mój dobry sitwes⁷! A potem, to ty już upilnujesz, żeby Malczyk z takim elementem nie parął się. Teraz nasze sprawy. Przychodź tu jutro do pracy, tak samo; opowiem ci co mi tam o Malczykowi powiedzą, no i zabawimy się jeszcze raz... Bo tak, to by ci się za tanio upiekło!

Genka odpowiedziała tylko ruchem warg: „Dobrze”.

Ale nie przyszła nazajutrz ani do kantorku po pracy, ani w ogóle do pracy. Do nocy chodziła sama po ulicach, łkając gorzkie, palące łzy. W nocy poszła na stację Malczyka, obudziła go, prosiła, żeby wyszedł do niej na ulicę. Wybiegł przerażony.

— Co ci jest, może zerwałaś się czym?!

Opowiedziała mu zaraz wszystko. — Chłonał to w siebie, zaciskając jej dłonie w rękach: patrzył na kochaną, drogą twarz, napiętowaną męką wielkiego upokorzenia.

Długo, długo milczał. Wpatrywała się w niego przez łzy i ból — niepewna. On zaś ogarnął ją po prostu ramieniem i począł całować, zacząłowywać po umęczonej, mokrej od łez twarzy.

— To ty! — powiedział — ty, moja żona, matka naszego synka!

Zapłakała wtedy żałośnie, a on się wtem roześmiał serdecznym śmiechem.

— Ty głuptasku!! Chcę przecie tylko powiedzieć, że taki zuch zawsze byłaś! W tej fabryce i w całym życiu: taka mądra, harda, twarda!... I naprawdę — nawet taka jak ty — potraficie kobiety takie głupstwa przez miłość do chłopca robić! Ani trochę cię mniej nie będę kochał przez tego tam wściekłego psa! Co mi tam! Przyjdzie czas się z nim porachować!... Ty rzucisz tę pracę tam. Jeszcze biedniej nam będzie: trudno... Nabrali cię draby, ty biedactwo!! Ani nic o mnie nie słyszeli, ani nikt mi nic nie chciał robić, ani ja z żadnym elementem wywrotowym nic nie mam... O, to najprzykrejsze, że cię, złotko, moja miła, tak na to wszystko tym strachem nabrali!...

Nazajutrz w fabryce Malczyk wyczekał przy wejściu na Zielnika. Ukłonił się mu grzecznie i podszedł. Zielnik zachnął się w stronę.

— Nie bój się pan — powiedział Malczyk — przychodzę tylko zapytać, czy był pan łaskaw tę moją sprawę załatwić?!

Wparli w siebie oczy: Zielnik — zbieleł od strachu, Malczyk siwe, stalowe. Długo wpatrywali się w siebie. Potem Malczyk niedostrzegalnie ścisnął majstra wyżej kiści ręki, aż ten poczuł w ustach jakby smak miedzi. Malczyk powiedział krótko:

— A za opiekę nad moją żoną, to już panu kiedyś, ale to nieprędko, może po latach, odwzajemnić się! Mam czas. — I odszedł.

Zielnik omijał od tego czasu Malczyka z daleka. Bo też żadna kobieta nie kosztowała go tyle wzruszeń, jak ta Genka!

Inne mógł mieć — za odwołanie redukcji, albo za groźbę redukcji; za zerwanie nici, albo za naprawienie nici; za reperowanie warsztatu, albo za niereperowanie warsztatu!...

⁷sitwes (jid.) — współnik. [przypis edytorski]

No i bez żadnych potem chryj, spokojnie: w zgodzie z dobrym trawieniem i dobrym obyczajem: bez zbyteńczego rozgłosu.

Bo majster Zielnik poza tym był dobrym familiantem⁸: dzieci swe kształcił; żonie na różne jej przyjemności jak np. pielgrzymki, wota, nie szczędził datków; sam do różnych bractw, a jakże, do różnych przyzwoitych organizacji także należał.

Wszystko więc było w porządku.

II. „ZASTĘPCA” ROBOTNICZY

Roman Gałkowski czuł się w fabryce niejako dożywotnim delegatem, „zastępcą robotniczym”, jak mówiło się w bardziej uroczystych okolicznościach. Dużo przyczyn składało się — tak myślał — na to dożycie delegackie. Ogół robotników, w większości kobiety — był bardzo spokojny, cierpliwy jak koń, jak wół (jak osioł, chciałby czasem powiedzieć Gałkowski), nie miał żadnych wymagań, mógł „czekać”... Poza tym — do tego czasu — na terenie fabryki nie było żadnych innych organizacji poza tą, której mężem zaufania był Gałkowski. Ta zaś mogła zawsze w dzisiejszych warunkach bić na głowę każdą „konkurencję”, gdyż była, choć radykalna, skrajna, lewa, ale... prorządowa⁹. Przecie jeszcze niedawno, parę lat temu, na uroczystościach organizacyjnych siadywali i nawet występowali premierzy, czynni ministrowie... Popieranie było bardzo mocne. Wprawdzie w ostatnich czasach trochę się pod tym względem zmieniło, powstało sporo kwasów między górą organizacji a rządem; rząd to i owo zarzucał organizacji, organizacja — jeszcze więcej — rządowi; ale na prowincji, z władzami, jeszcze sobie wszystko dość morowo szło. Pierwszym dowodem tego było zagarnięcie tej fabryki. Nieledwie od samego jej powstania (cztery lata temu) cała załoga należała do tego związku. Po prostu majster lub kierownik przy przyjmowaniu robotników nadmieniał (delikatnie, żadnego przymusu nie było), że jeżeli względem jakiej zawodowej organizacji, to radzi (nie przymusza, nie, tylko zaleca, orientuje) wybrać tę, a nie inną: więcej może pomóc w polepszaniu warunków pracy. Skutek był wspaniały, prawie od razu pozapisywali się wszyscy. Na około czterystu ludzi w załodze opowiedziało się przeciw (i to nie jakoś demonstracyjnie, gdzieżby tam! po cichu) zaledwie kilku mężczyźn: poszli do klasowców¹⁰, a może raczej — zostali, jak byli przedtem, u klasowców. Taki morowy skutek, a raczej po prostu taka „pomoc” dyrekcji fabryki była możliwa tylko dlatego, że władze administracyjne w dalszym ciągu zyczliwszym okiem patrzyły na ten związek niż na każdy inny.

Była jeszcze inna, poufnej natury przyczyna, dla której Gałkowski czuł się tak „dożywotnio” na tej delegaturze.

Gałkowski był młodym człowiekiem, nie miał jeszcze skończonych trzydziestu lat, ale w życiu przeszedł już dość dużo. Syn małorolnych, wyniszczonych gospodarzy, jako małe dziecko dostał się z małej wsi do wielkiego miasta wraz z ojcem, który przywędrował tu za swym panem, ongi¹¹ wielkim kresowym magnatem. Magnat, wuzuty doszczętnie z magnactwa, a nawet z dostatku przez rewolucję społeczną na Ukrainie, dożywał reszty swych lat na skromniutkiej stopie, zatruwając siebie i całe otoczenie gryzącym kwasem. Kwas był na co dzień, na obiad i do łóżka. Dziedzic nie miał już żony i nigdy nie miał dzieci; stąd najsolidniejsze porcje kwasu sływały na służbę. Oczywiście Roman nigdy nie wychodził z kuchni, skoro tylko pan był w domu. Dwupokojowe, najskromniejsze mieszkanko na trzecim piętrze brudnej i odrapanej kamienicy śródmieścia udostępniało się jego oczom i innym zmysłom tylko w tych rzadkich okresach, kiedy pan (na krótko zawsze) wychodził z domu, lub (co jeszcze rzadziej bywało) wyjeżdżał do krewnych na wieś. Były to rzadkie i krótkie chwile; zasadniczo egzystencja małego Romana zamykała się w granicach małej kuchenki. Jednak działanie kwasu promieniowało i tu, gdyż kwas dostawał się do Romana przez ojca „kamerdynera” i Teklę — kucharkę, a jak siebie lubiła nazywać — „gospodynię”. Działanie kwasu ustawało czasem tylko na krótką chwilę, gdy

⁸familiant — członek rodziny. [przypis edytorski]

⁹prorządowa — mowa o powołanym w roku 1931 Związku Związków Zawodowych (ZZZ) pod przywództwem byłego premiera Jędrzeja Moraczewskiego. [przypis edytorski]

¹⁰klasowcy — mowa o Związku Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce (ZSZ) powołanym w roku 1920 i pozostającym pod wpływami Polskiej Partii Socjalistycznej. Mniejsze wpływy mieli w nim komuniści (szacuje się, że obejmowały one co czwartego związkowca). [przypis edytorski]

¹¹ongi — dawniej. [przypis edytorski]

do pana wstępował ktoś z dawnych, dziedzicznych jeszcze, znajomych; wtedy posyłało się po zakąski, wódkę, wiele wódki i po krótkim czasie ponurego jedzenia i picia następowały wybuchy wesołości. — Dziecinna egzystencja Romana i pod innym względem nie należała do wesołych, gdyż pan wraz ze służbą przeważnie niedojadali. Ostatecznie pan musiał się jako tako ubierać, miał pewne potrzeby własne, z których nie chciał rezygnować i na to szły te skromniutkie środki pieniężne, jakie udało mu się jeszcze wyratować z rozgromu. Jako tako też i jadł. Ale na żywienie służby nie starczało. Jeszcze Tekla, która prócz kucharskich, spełniała dla pana i inne, też niezbędne czynności, dokarmiała się jakoś lepiej z pańskich resztek. Wiek pana, jak tylko Roman go pamiętał, był zawsze nieokreślony: czy miał lat czterdzieści, czy był po pięćdziesiątce, nikt tego nie wiedział. Był jednak zawsze mężczyzną jak się patrzy i swoich potrzeb pilnował. Tekla, przystara dla pana, bo już grubo po trzydziestce, była zawsze pod ręką; umiała nosić się czysto; była zdrowa; wszystko to były względy, dla których pan cenił Teklę. Ani Tekla, ani ojciec Romana nie brali żadnej pensji, jak tylko Roman siebie pamiętał — służyli „za życie”. Tylko, że Roman z ojcem tego „życia” też za dużo nie mieli. Łączyła natomiast Romanowego ojca z dziedzicem jakaś miłość, czy przyjaźń, jakieś głupie wprost tego człowieka do pana uwielbienie. Nigdy nie doszedł Roman, czy pan zrobił kiedy co dobrego jego ojcu. Słyszał było tylko zawsze pańskie kwasy, niezadowolenie, wyrzekanie. Ale trójka ta była ze sobą związana wspólną ucieczką z majątku, codzienną wspólną vegetacją i wreszcie swoistym powiązaniem, tajemnicę którego Roman nieprędko rozpoznał: pan i ojciec jego mieli wspólną kobietę, tę właśnie Teklę i żyli z nią sobie na zmiany.

Zresztą, niedługo to wszystko w Polsce trwało. Przyjechali z kresów w roku 1918, Roman dobiegał wtedy dziesięciu lat. Mieszkali tak razem wszyscy do 1924. Pierwszy umarł pan. Nie wiadomo dlaczego i co mu się stało, bo nigdy się nie leczył. Pewnego wieczora bardzo mocno zapił sobie z dalekim kuzynem, kuzyn w nocy wyszedł, a pan jak siedział przy nim w fotelu, tak już z niego nie wstał. Ojciec Romana znalazł go nad ranem już zupełnie skostniałego. W jakie dwa miesiące po śmierci pana zdarzył się z ojcem wypadek: potracił go tramwaj, wprowadzie nie na śmierć, ale zabrali go z ulicy ze złamanymi kolanami do szpitala, ze szpitala zaś, po paru tygodniach — do ziemi. Roman wcześniej zresztą już z ojcem się rozłączył, bo jak tylko skończył czternaście lat, ojciec oddał go do ślusarza do terminu. Ślusarz miał większą izbę i potrzebował chłopca do różnej pomocy, więc Roman tam zamieszkał. Po śmierci ojca Roman nie zaszedł już nawet nigdy do mieszkania pana, które przecież przy Tekli pozostało (musiał więc pan zawczasu o tym myśleć, skoro tak rozporządził); nie wiedział też, co się dalej z Teklą stać mogło. Tekla nigdy nie była dla niego dobra, ani życzliwa, złe miał przy niej życie; ale po śmierci ojca dziwnie jakoś spokorniała, przyszła nawet do niego do warsztatu oddać mu jakieś dobre spodnie po ojcu i wtedy słyszał, jak żaliła się majstrowi na swój los, że została sama. Powiedziała tak: „dwóch ich sobie miałam, każdy inszy, ale każdy mi się jakoś nadał. No i tak teraz zostałam od razu bez żadnego”. Roman miał już szesnasty rok; wiedział już dobrze, jak to jest w życiu z kobietami i oświadczenie to zamocowało już tylko przypuszczenia, jakie sobie uprzednio co do ojca poczynił. Zresztą, nic go to przecie nie mogło obchodzić.

Termin u ślusarza skończył się niespodziewanie. Warsztat pracował nisko, przeważnie robił naprawy różnego śmiecia, starych prymusów, marniejszych maszyn do szycia, innych różnych drobnych rzeczy. Niczego się przy tym nauczyć nie było można, a zresztą majster nie udzielał wcale żadnej nauki. Chłopiec był mu potrzebny do podawania, podnoszenia, przytrzymywania obrabianego przedmiotu, albo znów do posyłania go gdzie było trzeba, no i wreszcie do domowych potrzeb i posług. Roman przez cały pierwszy rok nie zarabiał wcale nic, tyle że miał gdzie spać i miał wyżywienie, niewiele zresztą lepsze niż u starego pana przy ojcu. Za to pracy, to znaczy — głupiego uwijania się, posyłek, harowań różnych miał po uszy tak, iż spać szedł bardzo późno z bólem we wszystkich kościach i z tym samym bólem zwykle się budził i wstawał. W drugim roku majstrowi wypadało już dawać mu co pewien czas choć parę groszy, tym bardziej, że ojciec jeszcze żył, dowiadywał się, wypytywał. Nudziło to majstra i tłumił w sobie do czasu zamiar wyrzucenia Romana z terminu z tym, żeby upatrzeć sobie znów mniejszego chłopaczka do posług. O pretekst do zerwania terminu i umowy (zresztą ustnej), nie byłoby trudno

nawet za życia ojca. Przecie można było zawsze wykazać się jakim świadkiem, że chłopak coś zwędził lub też chciał zwędzić. Ale tu przyszła majstrowi z pomocą śmierć ojca. Majster wyczekał dokładnie miesiąc od tej żałobnej daty; jeszcze kiedy Tekla odwiedziła Romana, zapewniał ją o swoich najlepszych zamiarach w stosunku do chłopca; w kilka zaś dni potem powiedział mu wprost: „Ty, wiesz, nie jesteś mi już potrzebny! Zabieraj się! Masz tę tam swoją opiekunkę, stary jej zmarł, może ciebie weźmie; nawet lepiej ci będzie, bo tuczyła cię będzie jak prosiaka!” Roman odszedł tegoż dnia, bo nie wiedział, czy może nie odejść? Do Tekli nie poszedł nawet nocować. Miał już znajomych chłopaków, przenocowywali go.

Jednak trzeba było z czegoś żyć; zarobić nie bardzo umiał, silny ani bardzo zdrowy nie był; w polu się nając albo do budowania dróg — nie potrafił. Tak więc imał się każdej roboty, posyłek, sprzedaży ulicznej, żeby tylko jako tako żyć. W tym czasie — miał rok osiemnasty — zapoznał się u kolegi z miłą dziewczyną, której się bardzo spodobał. Była to tak zwana „życiowa szansa”. Dziewczyna ta, ładna i ponętna, miała zabezpieczone środki do życia, bo rodzice odumarli ją niedawno i pozostawili jej budkę z sodową wodą i łakociami. Budka, na zbiegu ludnych ulic w dzielnicy robotniczej, miała dobry handel i z łatwością wychodziła na swoje. Mira od paru lat już zastępowała matkę w sklepiku, gdyż w rodzinie zauważono, że handel na tym zyskuje. Ładna dziewczyna nie miała też żadnych ambicji, nie chciała pobierać żadnej nauki i wołała królować w swojej budce. Dziewczyna znała już dobrze życie i rozporządzała nieokielznanym, zaborczym temperamentem, który nakazywał jej posiąść natychmiast wszystko, czego zapragnęła. Tak więc stało się i z Romanem. Nie potrzebowali nikogo się radzić. Mira przepędziła wszystkie ciotki i krewniaczki, które życzyłyby się zaopiekować jej losem i nie dała żadnej nawet obejrzyć wybranego, uboższego, prawie bezdomnego chłopca; zabrała go do siebie na noc w parę godzin po poznaniu, a w ciągu tej nocy przyszła do przekonania, że jej odpowiada i że należy pozyskać go na stałe. Uradzili więc, że się pobiorą. Romanowi nie zależało wcale na tym, skoro osiągnął już ciepłe mieszkanie, utrzymanie i ładną, zdrową, namiętą kochankę. Ale Mira obstawała przy sakramencie. Pobrali się. Roman miał dzięki temu kilka tłustych i sennych lat życia. Wstawał kiedy chciał; bywał albo nie bywał w budce, tak, jak chciał. I całodzienną sprzedaż w budce i wszystkie zakupy dla budki załatwiała żona. Utył bardzo na tym gospodarstwie; sennie i syto żył; tylko zmartwieniem żony było, że nie mógł jej dać dziecka. Takie życie trwało aż do dwudziestego trzeciego roku obojga młodych, bo byli w jednym wieku. W tym roku (był to rok 1930) pewnego dnia Mira wyrzuciła Romana zupełnie tak samo, jak to zrobił uprzednio majster. Użyła nawet tych samych słów.

— Wiesz ty — powiedziała mu pewnego wieczora, rozpinając podwiązki — idź już sobie jutro stąd gdzie chcesz, bo ja o małżeństwo takie nie dbam; nie jesteś mi już wcale potrzebny!... Małżeństwo, to ja uważam — dzieci, a ty tego nie możesz mi zrobić; zresztą, i tak — tyjesz, wysypiasz się i coraz to robisz się nudniejszy...

Roman uniósł senny już nos znad poduszki (sypiali w jednym łóżku, ale daleko już było od ognistych uczuć pierwszych miesięcy) i chciał wyrazić oburzenie, ale mu to wcale nie poszło. Rozważał też milcząc, że w ciągu czterech lat kobieta ta pracowała na jego utrzymanie, a przecież niczym jej nie wynagrodził, bo chciała tylko dziecka; co zaś do mężczyzny, to — młoda i ładna — mogła ich mieć do wyboru. Krępował się spytać, czy ma już lepszego na widoku; kręciło się koło niej dość. Roman zawsze czuł się jakiś „przygodny” w tym stadle; tak jak przygodny był w pańskim mieszkaniu, przy ojcu, przygodny u majstra. Żeby się za bardzo nad nim nie wynosiła, ziewnął i powiedział: „A wiesz, że to i dobrze!... I ja mam inne plany... Nawet mi się już znudziłaś... Pewnie dlatego i nie masz ze mną dziecka... Bardzo chętnie nawet odejdę”... Mira popatrzyła na niego z zupełnie wyraźnym akcentem w oczach: „dureń”, ale powiedziała bardzo grzecznie: „To posuń się lepiej do ściany; dużo zajmujesz miejsca” — i odwróciła się do snu. Po paru dniach Roman opuścił swoje małżeństwo.

Tu już jednak okazały się wielkie trudności w prostej sprawie podtrzymania własnego bytu. Już o robotę było trudno. Nieraz też wracać musiał do Miry; prosić o pieniądze, które w drobnych ilościach otrzymywał; prosić o nocleg, o jakąś pomoc. Mira dopuszczała go grzecznie do stołu i umiarkowanie — do kieszeni, ale noclegów nie lubiła: kiedy zaś nocował, musiał spać osobno, na małej kanapie. Po kilku takich nawrotach do żony,

zastał i tę furtkę zamkniętą. Przyszedł kiedyś wieczorem; nie miał pracy, niedojadał, po prostu nie miał gdzie nocować. Mira długo nie otwierała mu, a gdy wreszcie otworzyła drzwi, zobaczył tylko jej wysuniętą rękę i dwa złote. — „Nie mogę cię nocować; w ogóle przeszkadzasz mi; nie wracaj tu już więcej; wprost nie wiem, jak ty się nie wstydzisz”. Drzwi się zatrzasnęły. Roman stał za drzwiami, zły i zmartwiony i słyszał, jak Mira, kładąc się z powrotem do łóżka, mówiła do kogoś popędliwie: „No patrz, ty!! Tacy są mężczyźni! Doi mnie i doi; nie wstyd to mu? Inne żony skarżą o alimenty, a tu ten!!” Nagle głos jej zmienił intonację na miłą i czułą, przypominającą tę z pierwszych miesięcy ich małżeństwa i Roman usłyszał dokładnie: „I w takiej chwili, musiał, bydlę, stukać!!”

Nędzia i głód doprowadziły Romana, jak tylu innych, do kradzieży. Przyłapany, przyznał się w śledztwie do niepopelnionych przestępstw i nazwał nieistniejących współników. To — zamiast zniechęcić — ogromnie spodobało się wywiadowcy, z którym miał do czynienia. zaproponował mu po odbyciu kary — służbę dla wywiadu. Poleciał mu pewne przygotowawcze studia już w więzieniu. Roman przyjął, jak się to mówi, z miłą chęcią. Nie miał istotnie żadnych skrupułów. Ciężkiej pracy pełnić nie mógł — tak mu się zdawało; żyć potrzebował, głodowanie gnębiło go. Taka służba, zapewniająca i utrzymanie i nadto stosunki, odpowiadała mu. Siedział zresztą w więzieniu tylko dwa miesiące i po uwolnieniu natychmiast zabrał się z energią do nowych obowiązków.

W tym miejscu popełnił rzecz, którą sam w swym nierozwiniętym mózgu uznał jednak za świństwo. Mianowicie — zaszkodził Mirze. Medytacje więzienne i rozmowy tam z „doświadczonymi” mężczyznami uświadomiły go, że Mira „nie miała prawa” postąpić z nim tak, jak postąpiła. Rozpamiętywał gorzko wszystkie wygody życia u niej i owo „wypowiedzenie” mu małżeństwa, wikt i opierunku jednej nocy, a później — przepędzenie go w drugą noc, kiedy innego już darzyła miłością, a na pewno i wiktem, i opierunkiem... Nagle, niespodziewanie dla niego, w więzieniu wspomnienia te zaczęły go gryźć i parzyć. Postanowił „pokazać babie władzę”... Doszedł, z kim żyła. Był to młody czeladnik piekarski, śliczny chłop, zapamiętały „buntownik” i socjalista. Nie mieszkał u niej, nie chciał wikt i opierunku, sam miał dobrze płatną pracę, był kawalerem, przychodził do niej noc w noc „z wolnej ręki”, żeby się kochać. Musiała więc mu się podobać.

Roman zadenuncjował tego chłopca. Doznał uczucia tryumfu — upajająco nowego w całym jego życiu! — kiedy spotkał się wypadkowo z Mirą, wystającą pod więzieniem, splakaną do niepoznania, skrzeplą, wychudłą w cierpieniu. Nie widziała go i stchórzył pokazać się jej na oczy, choć przecie nie była w stanie dojść źródła swego nieszczęścia. Ale rzutu oka na jej postać wystarczyło, żeby dostrzegł, jak unosił się sweter na jej brzuchu, jak bardzo zaokrągliły się biodra; dopięła więc swego: miała mieć dziecko! Uczucie tryumfu spotęgowało się: „Dobrze załatwione!! Teraz dopiero musi ją boleć, że zabrano jej odpowiedniego samca”.

Denuncjując chłopaka Miry, Roman awansował na konfidenta, który potrafi mieć wiadomości ze środowiska ruchu robotniczego, może — rewolucyjnego. I tak właśnie doszedł Roman do swej ostatniej kariery.

Kryzys pogłębiał się, a wraz z nim wzrastały nastroje opozycyjne w społeczeństwie. Roman otrzymał pracę w jednej z fabryk metalowych, gdzie postawiono mu warunek, żeby śledził za krzewieniem nastrojów opozycyjnych. Uczucie władzy i połączone z nim uczucie tryumfu stanowiły nowe, dodatnie przeżycia Romana. Mógł teraz telefonować do różnych panów, z którymi wiązały go i łączyły różne zadania, spotykał się z panami w różnych lokalach, wydawał się sobie czymś innym, nie tym Romanem od starego pana, od majstra, od Miry... Zresztą, musiał zmieniać fabryki, bo robotnicy umieli się jakoś po czasie polapać i nieraz mogło mu być gorąco, gdyby w porę nie uszedł. W końcu uznano za wskazane, żeby Roman obrał sobie jakąś określoną fizjonomię polityczną i związek, z ramienia którego mógłby stale działać. Przez tchórzostwo, które było mu wrodzone, przez chęć łatwizny i wygodnictwa wstąpił do związku orientacji rządowej. W ten sposób został delegatem w fabryce trykotaży pod firmą „Szpilka”. I to właśnie — służba konfidenta sprawiała, że Roman Galkowski traktował tu swoje delegactwo tak jakby dożywocie.

Co do wygody, nie miał wprawdzie teraz tak dobrze, jak przed kilkoma laty w fabryce metalowej. Tam delegaci, na zasadzie ustnej ugody zarządu fabryki ze związkiem, bywali z reguły zwalniani od pracy przy warsztacie (od chwili wyboru i przez cały okres dele-

Zemsta

gatury), a płatni byli tak, jakby pełnili swoją warsztatową pracę: tę samą mieli stawkę, przy jakiej zastał ich wybór na delegata. Teraz — lata kryzysowe, wzrastająca dążność właścicieli i zarządów fabryk do oszczędzania na robociznie, zmniejszające się od pięciu lat prawa i przywileje robotnicze sprawiały, że delegat nie otrzymywał tak doskonałych warunków i zasadniczo musiał robić przy warsztacie; dla społecznych zaś, delegackich obowiązków musiał wykrawać czas w przerwie obiadowej lub też po godzinach pracy. Oczywiście, ścisłe trzymanie się stricte takich warunków byłoby znów nie do pomyślenia. Przecież musiał wychodzić od czasu do czasu do inspektora pracy, nieraz musiał tracić całe godziny. Byłoby to z wielkim uszczerbkiem dla jego zarobków. Miał też i to na względzie, że czasem wypadało mu być w godzinach pracy w urzędzie bezpieczeństwa, kiedy miał coś tam do zakomunikowania. Uzyskał też zamaskowaną pomoc tego właśnie urzędu — interwencję „miarodajnych czynników” u dyrekcji fabryki, żeby nie krzywdziła delegata Gałkowskiego, którego prorządowe nastawienie i dobroczynny wpływ na nastroje załogi robotniczej należało uważać za zupełnie pewne. Dyrekcja nie bardzo rozumiała z początku, dlaczego niepokąźny delegat Gałkowski korzysta z takiego poparcia, ale dla dobrych stosunków z urzędami wołała być dobrze z ustosunkowanym delegatem. W końcu zaliczano mu każdą dniówkę i wszystkie dniówki za pełne, niezależnie od liczby wyjść i liczby przechodzonych godzin.

Gałkowski miał na ogół w fabryce prawie święte życie. Robotnicy werbowani byli przeważnie z okolicznych wsi, nie tknięci żadnym trądem opozycyjnym i przepelnieni ową niewypowiedzianą zdolnością bezkresnego czekania na polepszenie warunków. Gałkowski doskonale rozpoznawał się w istocie warunków pracy w tej fabryce i umiał je porównać z lepszymi warunkami w innych fabrykach lub w latach przedkryzysowych, więc w duszy sam się dziwował niekończącej się cierpliwości robotniczej. Nabył wprost rutyny w uspokajaniu robotników, w umiejętności obiecywania im pomocy, której nie wypełniał. Była to prawdziwa umiejętność i sztuka: tak przewlec, tak przemaglować każdą sprawę, każdą słuszną pretensję, tak ją rozwłóczyć po konferencjach bez określonego wyniku, po sieci interwencji, że z pretensji i sprawy w końcu nic konkretnego nie zostawało. W tej sztuce Gałkowski dopiął istnej doskonałości. Najuporczywszy robotnik, kiedy po pięć lub dziesięciokrotnym przypominaniu i pytaniu, bywał znów odsyłany do innego terminu, maglowany przy innej wątpliwości prawnej — odstępował od swej słusznej pretensji, a dziwna dobroć i wyrozumiałość większości robotników sprawiała, że prawie nigdy nie dochodziło do żadnych poważniejszych wybuchów. Zaledwie kilka razy Gałkowski wyczuł, że ten i ów robotnik wpada na trop jakiejś bliżej nieokreślonej wątpliwości; że załamuje się zaufanie do delegata, że wyczerpuje się ta przysłowiowa „polska cierpliwość”. Wtedy umiejętnie intrygował między robotnikami, budził w innych podejrzenia co do tego, który przestawał mu ufać. Robił to bardzo zręcznie, bez szczególnego nacisku. Na przykład: przeglądając książeczki obrachunkowe w obecności kilku robotników, natrafiał niby przypadkowo na książeczkę interesującego go robotnika (podłożoną umyślnie w tym celu w określone miejsce, żeby weszła pod rękę) i niby niechcący ronił nagle: „Ale ten, powiedzcie no, Jackowski (lub Malczyk), co on się tak koło majstra uwija? he? Ma w tym co, albo jak?! Nic nie rozumiem”... A zapytany wręcz: „Co sobie na ten przykład myślicie? O co idzie?” - wycofywał się wnet i zasłaniał — solidarnością robotniczą: „Nie, co znowu! kwestię chcecie mu zrobić o takie głupstwo?! Teraz w kryzysie nie rozbijanie, a łączenie nam potrzebne!... Nic takiego nie chciałem wcale powiedzieć”... Pozostawało niemiłe, niewyraźne wrażenie, że jednak z Jackowskim (lub Malczykiem) nie wszystko było w porządku, skoro się lizał do majstra. Czasem też robił — w mniej wyraźnych chwilach — masówkę i wręcz stawiał pytanie, czy mu ufają? Wyglądał przy tym sam na pokrzywdzonego, na bidulka. Umiał też ich „zażyć z mańki”: o kryzysie, o wzrastającej reakcji, ale też i o obcych agenturach, które sprzedają Polskę. Wszystko się tedy znów rozchodziło po kościach.

Gdy zaś naprawdę czuł, że się rwie, że czyjaś nagła czujność zaciska się mu dokoła szyi, wtedy miał przecie swoją najskuteczniejszą, niewidoczną, a ostrą broń. Uciekał się do niej wprawdzie tylko w ostateczności, bo bał się jednak kiedy przy tym wpaść. Tak właśnie było z Jackowskim. Roman czuł, że Jackowski nie dowierza mu i że żywi już określone zupełnie podejrzenie co do podwójności jego roli w fabryce. Malczyk też był nieufny, ale jakby się jeszcze łamał i wahał to na tę, to na jego znów stronę. Ale Jackowski był już

całkiem zdecydowanym jego wrogiem. Pewnego dnia podszedł do niego przy warsztacie i powiedział mu półgłosem:

— Słuchajcie, Gałkowski. Widziałem was wczoraj w takim miejscu, że wprost nie wiem, co o was myśleć!

Gałkowski zbladł, bo rzeczywiście poprzedniego dnia odwiedzał to właśnie miejsce.

— Nie rozumiem was — wybełkotał — o co chodzi?

— Nie chcę robić skandalu — powiedział tak samo cicho Jackowski — ale radzę wam, usunąć się lepiej sami z fabryki, bo już tu nie możecie z nami być... Pracujecie na dwa fronty!... — i odszedł.

Tej nocy, późno, Gałkowski prosił telefonicznie o posłuchanie w bardzo pilnej sprawie i z wszelkimi ostrożnościami udał się na widzenie. Zaklinając na wszystko, że może się wsypać i wsypać całą sprawę, prosił o przytrzymanie Jackowskiego jeszcze tej nocy. Starszy wywiadowca, z którym mówił, miał wielkie wątpliwości, jak się to da zrobić. Jackowski nic nigdy nie miał nie tylko z żadnym komunizmem, ale w ogóle z żadną polityką i jak go będzie zatrzymywał? Tyle już ludzi siedzi bez dostatecznej przyczyny; to się jeszcze robi, jak co poważnego za tym stoi, ale żeby tak dla każdego przeciętnego konfidenta!... Gałkowski nie dawał za wygraną.

— Tylko o to proszę, żebyście zabrali go dziś do aresztu, a ja wam w mig dowodów dostarczę, świadków i wszystko takie... Przecież wiecie, że to i to umiem zrobić... A jeżeli go nie zamkniecie dziś, to jutro już on może wystąpić przed załogą i wtedy będzie kłapa!...

W końcu wywiadowca się zgodził. Ale i tego jeszcze było mało. Gałkowski prosił o „nauczenie” w urzędzie Jackowskiego, nieszkodliwie, ale tak, żeby się choć parę tygodni nie mógł ani z nikim widzieć, ani pisać nic, bo inaczej przez żonę dałby znać do fabryki. W ciągu zaś paru tygodni będą i dowody „na mur”, no i Gałkowski zdąży się już tak koło Jackowskiej i dzieciaków zakrzętnąć, że jeszcze na dobroczyńcę wyjdzie... Sprawa została załatwiona. Przy czym załatwiona tak precyzyjnie, podług dokładnych próśb Gałkowskiego, że Jackowski nie został aresztowany w mieszkaniu (byłby zaraz pewno powiązał areszt z opisaną rozmową z Gałkowskim i na miejscu, choćby i przy policji, powiedział to żonie), tylko nad ranem, w podwórzu, gdy wychodził z ustępu, szykując się już do wyjścia do pracy.

Krzyknął wprawdzie głośno, gdy go zatrzymali, bo był ostry chłop i nie tchórz, ale wywiadowca, obecny przy aresztowaniu, ścisnął go tylko za łokieć i wyraził go ostrzegł na ucho: „Dla pana lepiej spokojnie się zachować, bo dowody są takie...”, przy czym dyskretnie opuścił prawą rękę do kieszeni; posterunkowy zaś zaburczał: „No, co tam, panie Jackowski, każdy tu pana zna, widać jakieś nieporozumienie, wytłumaczy się pan na policji; tylko bez tych wywrotowych sposobów, bo to nas drażni!...”

Jackowski powędrował do aresztu. Tam już zajęto się dalszą asekuracją lojalności delegackiej Gałkowskiego. Gałkowski zaś miał swobodną rękę w opiekowaniu się wcale miłą żoną Jackowskiego, która choć nie dopuszczała do żadnej poufałości, ale przecie nie odrzuciła ręki wyciągniętej z pomocą dzieciom, w szkolnych, odzieżowych potrzebach, w życiu. Tak więc kilkanaście złotych, zebranych na ten cel w fabryce w imię solidarności robotniczej, Gałkowski oddawał osieroconej rodzinie, kapitalizując wyniki własnego sprytu, pięknie rozwijającego się w sprzyjającej atmosferze, ufności i bierności robotniczej oraz sprawnie funkcjonującego urzędu.

Nie przemęczając się zbyt pracą, używając w miarę alkoholu i kobiet, Gałkowski, jak w małżeństwie z Mirą, tył przy tej delegaturze, a dawne — drażniące nieco — odczuwanie siebie jako osoby, tkwiącej wszędzie przygodnie tylko, zastępowało z wolna spokojne, miłe, choć letnie, trochę wegetatywne poczucie własnego ustatkowania. Gałkowski określił to sam dla siebie słowem: „dożywocie”.

Dożywocie wydawało się wcale murowane. Nie zanosilo się na bliski kres ani ufności i bierności robotniczej, ani ustalonych metod postępowania ze środowiskiem robotniczym

i społeczeństwem. Gałkowski nie przewidywał, że raz jeszcze w życiu zaskoczy go szybka likwidacja tych jego — ustabilizowanych zdawało się — życiowych zdobyczy.

Był bowiem człowiekiem płytkim, nie umiał się wcale rozpoznać w zmieniających się nastrojach mas, w prądach, które zaczynały już nurtować nawet w „uspokojonej” załodze fabryki „Szpilka”. Bardzo zarozumiały, był pewny siebie i bardzo już dufny w trwałość tych wszystkich kanonów, które stanowiły ograniczoną mądrość jego życia i urzędowania. A tymczasem, mógł już nieraz zauważyć, że w związku włókienniczym i w okręgowej radzie związków zawodowych tego (prorządowego) ugrupowania niejedni zdradzali już daleko idące w stosunku do jego osoby zastrzeżenia; niejedni mieli już go pod stałą obserwacją. Gałkowski przyłożył się do szablonu: prorządowiec — opozycja (wywrotowiec), podług tego szablonu układał całą swą strategię i na tym już dziś opierał wszystkie swe doraźne rachuby życiowe. Mając sam niejako zanik pojęć i pobudek etycznych, nie brał pod uwagę, że tu i tam, niezależnie od politycznych różnic w poglądach, może natrafić na wartościowy element ludzki, o który rozbijają się, jak fale o skałę, jego kombinacje.

Gdy zaś zaczęło mu się rwać, to poszło od razu na całego. Pewnego dnia, gdy przyszedł do sekretarza związku w sprawach „delegackich”, pierwszym człowiekiem, którego zobaczył w poczekalni, był młody piekarz, kochanek Miry. Gałkowskiemu pociemniało w oczach, ale opanował się i przyciskając do boku tekę, wsunął się pośpiesznie do pokoju sekretarza: przecie piekarz nie musiał go znać z twarzy!

Sekretarza nie było, zastępował go jeden z członków zarządu związku, bezrobotny przedrzar selfaktorowy¹², Jasio Mitek, „byczy” chłop, kiedyś podoficer legionowy, odznaczony krzyżem walecznych w wojnie polsko-sowieckiej. Mitek, zamiast zwykłego serdecznego uścisku dłoni, podrzucił tylko jakoś pocieszenie brwiami i mówiąc: „Gałkowski: a to dobrze, siadajcie!”, jednocześnie wyminął się z wyciągniętą ręką Gałkowskiego i otworzył drzwi do poczekalni. Gałkowski struchlał, gdy usłyszał: „Proszę, towarzyszu Nowicki, tu jest delegat Gałkowski”. Ku dalszemu przerażeniu Gałkowskiego, wszedł piekarz, bardzo spokojny, opanowany. Zmienił się znacznie, schudł: Gałkowski wiedział, że przebył dłuższy czas w więzieniu śledczym, nim go wypuszczono. Mitek serdecznie zaprosił Nowickiego by usiadł i częstował go papierosem. Gałkowski milcząc, lękał ślinę, napływającą mu do ust w ogromnej ilości i z niesłabnącym strachem obserwował, jak dobrze, serdecznie patrzają sobie ci dwaj w oczy. Wreszcie przemówił pierwszy Mitek.

— Więc towarzyszu — jak na złość tak sadził tych „towarzyszy!” — przykra to sprawa, dla nas byłaby bardzo niedobra, bo Gałkowski zorganizował nam parę fabryk i jest w jednej zastępcą... Może to jednak pomyłka! Rozmówcie się z nim tu przy mnie... — Po czym zwrócił się do Gałkowskiego, z widoczną przykrością przenosząc na niego wzrok: — Tutaj właśnie towarzysz-obywatel od klasowców, obywatel Nowicki ze związku piekarzy oskarża was, że siedział w areszcie politycznym przez wasze doniesienie.

Odrzucił w tył głowę i patrzył mu teraz wprost w oczy. Gałkowski chwiejną ręką zapalał swego papierosa. Po dobrej chwili i dopiero po namyśle, powiedział uprzejmie:

— Ten pan — obywatel — mnie nie zna. I ja go po raz pierwszy na oczy widzę. To pomyłka, albo przez jaką zemstę kto temu towarzyszowi naszczał...

Próbował tu uśmiechnąć się życzliwie do piekarza, ale spotkał się z tak bezlitosnym spojrzaniem, że zbladł pod nim, jak pod ciosem. Piekarz zwrócił się do Mitka i tu Gałkowski rozpoznał znów ze zgrozą rodzącą się między tymi politycznymi „wrogami” serdeczność.

— Z nim nie chcę w ogóle mówić — powiedział piekarz i kiwnął głową w stronę Gałkowskiego. — To on to zrobił. Ja żyję z jego dawniejszą żoną, która go od siebie przepędziła: musiała sama całe lata na łobuza pracować i...

Gałkowski zastukał w tym miejscu palcem po stole.

— Obywatelu — zwrócił się do Mitka — nie pozwalajcież mnie znieważać!!

Ale Mitek, patrząc mu wprost w oczy, zagadał twardo:

— Gadaj lepiej, czy to prawda, z tą żoną, i z tym twoim rozejściem się...

— Nie należy to do rzeczy — bronił się Gałkowski — sam ją rzuciłem, ale nic do niej nie mam, nic mnie nie obchodzi, z kim tam teraz się przewraca... Nie chciałem jej...

¹²selfaktor — rodzaj wózkowej maszyny do przędzenia. [przypis edytorski]

— Zrobił wysiłek, żeby wzmocnić swój głos — Sekretarza nie ma? Ty Mitek, doprawdy, brednie wyprawiasz, wysłuchujesz głupstwa, a swojego człowieka nie umiesz...

Przerwał mu piekarz. Wstał, podszedł do Mitka i kładąc mu ufnie dłoń na ramieniu, powiedział:

— Ja was, moi drodzy, w błąd nie wprowadzam. O tej rzeczy wiem sam dopiero od kilku dni, bo już wcześniej byłbym go szukał. Jak dowiedziałem się, że taki człowiek u was jest w związku, to najbliżej mi było do związku, do was iść o sąd nad nim. A skąd wiem, powiem: od waszych zorganizowanych ludzi, nazwę ich i tu z nimi przyjdę!... Jest — dodał, stojąc tak wciąż przy Mitku i z dala patrząc na Gałkowskiego — jest przecie jeszcze nasz ratunek, jest jedna uczciwość proletariacka... Przyjdę tu z Malczykiem z tej fabryki, gdzie ten jest u was delegatem. Malczyk wie...

Mitek, spocony z przejęcia aż po korzenie włosów, uściśnął dłoń Nowickiemu.

— To straszna dla nas sprawa, rozumiecie, ja muszę mieć Malczyka na dowód... Bo między wami była kobieta... No i wam przecie tego w więzieniu nie zdradzili!...

Nowicki odparł krótko:

— Słuszna rzecz. Rozumiem. Musicie być organizacyjnie w porządku. Ja też wam coś zeznam...

Ale tu wysunął się Gałkowski.

— Nie godzę się na Malczyka! — zawołał — bo każdemu w fabryce wiadomo, że to mój zaciekle wróg; tam też o jego narzeczoną to poszło... On na mnie naszczeka, a jak ja się w takiej sprawie obronię?! Nie mogę się zgodzić na świadectwo Malczyka!

Nie rozumiał, że gubił się tym doszczętnie w oczach Mitka. Wyczuł tylko klęskę, gdy Mitek podszedł i z bliska spojrział w twarz: dobrodusznego zazwyczaj, żywego i miłego, ciemne oczy Jasia, „byczego” chłopca, były złe, były straszne.

— To ty jesteś widać, Gałkowski, to śmierdzące bydlę: to ty widać swoich naprawdę sprzedajesz; to ty jesteś politycznym szpiclem przeciw robotnikom; to mało dla ciebie stryczka, szkoda kuli; butem chyba traktować takie bydlę... — chrząknął tak zduszonym głosem.

Gałkowski cofał się, rzucając urywane wyrazy: — Samowola!... Do sekretarza!... Prezesowi będę!!! — Ale tu już wszedł między nich Nowicki.

— Zostawcie go teraz, Mitek. Tak nie możecie, tylko organizacyjnie sprawa musi przejść; musicie mieć nasze zeznania; nie można inaczej... Za poważne to rzeczy...

Poprowadził go do biurka, a Gałkowski tymczasem jak bomba wypadł w drzwi. Nowicki usiadł przy Mitku.

— No, nieszczęście dla organizacji! — powiedział. — Wiecie, że jestem od was inny i waszej organizacji wybraniać nie potrzebuję. Ale przecie wiem, że dużo u was porządnym chłopów, a i do was ot — duże zaufanie od pierwszej chwili czuję i dobrze o was z fabryk słyszałem... Co robić! Takie coś i u nas, i u lewicy może się zdarzyć; a nawet na lewicy robotniczej to bardzo często, bo przecie cały ruch robotniczy tak chcą podjadać i kończyć!... Nie zamartwiajcie się tak za bardzo, chłopie! — dodał serdecznie, widząc jak Mitek głowę na obu rękach wsparł i krył przed nim ciężki rumieniec wstydu. — Nawet wam, wiecie, już tak poza organizacjami, z proletariackiej solidarności, coś poradzę. Sprawę jego spokojnie, spokojnie prowadźcie, a szybko, a cicho. Jeżeli osobiście nie czujecie się na siłach, że to was zaraz rwie rozprawić się z nim, to niech to lepiej weźmie sam sekretarz, albo i cały zarząd lub komisja specjalna. Malczyka wezwiecie, a i ja przed każdym tu u was ciałem zeznawać będę, bo to sprawa nasza wspólna robotnicza!... I radzę wam tylko: zaraz go, natychmiast, dziś już zawieście w delegackich obowiązkach... Bo tych to już nie może dłużej pełnić...

Wstali. Mitek, zdręczony moralnie, dziękował mu bardzo za życzliwość, za serdeczność. Żegnali się. Już Nowicki wychodził z pokoju, gdy Mitek wybiegł z biurka i zatrzymał go.

— Oto — powiedział — i cóż tu dłużej gadać! Oto z takiej ciężkiej sprawy wyrasta od razu, że musi być jednolity robotniczy front!! Nie? — Roześmiał się piekarz i objął go ciepłymi promieniami swych czarnych, wpadłych w więzieniu oczu: — Tak — powiedział tylko — bracie!

— To straszna dla nas sprawa, rozumiecie, ja muszę mieć Malczyka na dowód... Bo między wami była kobieta... No i wam przecie tego w więzieniu nie zdradzili!...

Nowicki odparł krótko:

— Słuszna rzecz. Rozumiem. Musicie być organizacyjnie w porządku. Ja też wam coś zeznam...

Ale tu wysunął się Gałkowski.

— Nie godzę się na Malczyka! — zawołał — bo każdemu w fabryce wiadomo, że to mój zaciekle wróg; tam też o jego narzeczoną to poszło... On na mnie naszczeka, a jak ja się w takiej sprawie obronię?! Nie mogę się zgodzić na świadectwo Malczyka!

Nie rozumiał, że gubił się tym doszczętnie w oczach Mitka. Wyczuł tylko klęskę, gdy Mitek podszedł i z bliska spojrział w twarz: dobroduszne zazwyczaj, żywe i miłe, ciemne oczy Jasia, „byczego” chłopca, były złe, były straszne.

— To ty jesteś widać, Gałkowski, to śmierdzące bydlę: to ty widać swoich naprawdę sprzedajesz; to ty jesteś politycznym szpiclem przeciw robotnikom; to mało dla ciebie stryczka, szkoda kuli; butem chyba traktować takie bydlę... — chrypiał tak zduszonym głosem.

Gałkowski cofał się, rzucając urywane wyrazy: — Samowola!!!... Do sekretarza!... Prezesowi będę!!! — ale tu już wszedł między nich Nowicki.

— Zostawcie go teraz, Mitek. Tak nie możecie, tylko organizacyjnie sprawa musi przejść; musicie mieć nasze zeznania; nie można inaczej... Za poważne to rzeczy...

Poprowadził go do biurka, a Gałkowski tymczasem jak bomba wypadł w drzwi. Nowicki usiadł przy Mitku.

— No, nieszczęście dla organizacji! — powiedział. — Wiecie, że jestem od was inny i waszej organizacji wybraniać nie potrzebuję. Ale przecie wiem, że dużo u was porządnym chłopów, a i do was ot: duże zaufanie od pierwszej chwili czuję, i dobrze o was z fabryk słyszałem... Co robić! Takie coś i u nas, i u lewicy może się zdarzyć; a nawet na lewicy robotniczej to bardzo często, bo przecie cały ruch robotniczy tak chcą podjadać i kończyć!... Nie zamartwiajcie się tak za bardzo, chłopie! — dodał serdecznie, widząc jak Mitek głowę na obu rękach wsparł i krył przed nim ciężki rumieniec wstydu. — Nawet wam, wiecie, już tak poza organizacjami, z proletariackiej solidarności, coś poradzę. Sprawę jego spokojnie, spokojnie prowadźcie, a szybko, a cicho. Jeżeli osobiście nie czujecie się na siłach, że to was zaraz rwie rozprawić się z nim, to niech to lepiej weźmie sam sekretarz, albo i cały zarząd lub komisja specjalna. Malczyka wezwiecie, a i ja przed każdym tu u was ciałem zeznawać będę, bo to sprawa nasza wspólna robotnicza!... I radzę wam tylko: zaraz go, natychmiast, dziś już zawieście w delegackich obowiązkach... Bo tych to już nie może dłużej pełnić...

Wstali. Mitek, zdręczony moralnie, dziękował mu bardzo za życzliwość, za serdeczność. Żegnali się. Już Nowicki wychodził z pokoju, gdy Mitek wybiegł z biurka i zatrzymał go.

— Oto — powiedział — i cóż tu dłużej gadać! Oto z takiej ciężkiej sprawy wyrasta od razu, że musi być jednolity robotniczy front!! Nie? — Roześmiał się piekarz i objął go ciepłymi promieniami swych czarnych, wpadłych w więzienie oczu: — Tak — powiedział tylko — bracie!

Ale Gałkowskiego nie zawieszono zaraz w czynnościach. Sekretarz, zarząd stanęli na stanowisku, że jakkolwiek sprawa wygląda na przegraną (Gałkowski wyjdzie na szpicla), ale dla organizacji takie przyznanie się do przegranej przed śledztwem, politycznie nie jest korzystne. Próżno rzucał się Mitek i w pasji szarpał swój krzyż Pierwszej Brygady, z którym się nigdy nie rozstawał; próżno dowodził, że właśnie dla organizacji byłoby tak lepiej i korzystniej. Poza tym inni członkowie zarządu podejrzewali tu możliwość „intrygi opozycyjnej” i woleli być ostrożni... Śledztwo zaczęto wprawdzie nazajutrz, ale Gałkowski przestał być w kilka dni potem delegatem nie w wyniku śledztwa (które sam wkiął, doprowadzając swoich świadków) — a w wyniku zmian w obliczu politycznym załogi i wyborów nowego delegata.

Tegoż wieczora po zarządzie, gdzie przegrał zawieszenie Gałkowskiego, Mitek odszukał Malczyka (kolegę ze Strzelca) i poszli we dwójkę do Nowickiego. Odszukali go dopiero

późno wieczorem u Miry. O sprawie Gałkowskiego mówili króciutko: Mitek już wiedział wszystko. Ale długo, długo w noc, aż już miało świtać, siedzieli u Miry: wszyscy czworo ze sobą zwarci w trosce, gniewie i bólu; zaprzyjaźnieni tak nagle, ale już choćby i na śmierć.

III. DYREKTOR FABRYKI

Dyrektor fabryki „Szpilka” Bronisław Baczyński był zupełnie przeciętnym dyrektorem zakładu przemysłowego. Podług ustalonej w tym środowisku hierarchii zainteresowań obchodziła go przede wszystkim własna kieszeń, ambicja i kariera, potem — interes firmy, bo wiązał się ściśle z jego powodzeniem osobistym, a na końcu, oczywiście warunkowo — ojczyzna. Oczywiście warunkowo, o tyle, o ile, gdyż pan Baczyński był już człowiekiem starszym, dopędzał pięćdziesiątkę i miał czas już nieraz zmieniać stosunek do tak zwanej ojczyzny. Przed wojną, jako inżynier z rosyjskiej szkoły, zarabiał świetnie w Zagłębiu Donieckim i wtedy imperium rosyjskie było jego ojczyzną. Wprawdzie w domu (jego wuj Doniczów i później jego własnym) mówiono tylko po polsku (gdy byli sami); w każdym z miast imperium nawiązywano stosunki przede wszystkim z kolonią polską. Ale polityczna orientacja Baczyńskiego (stronnictwo narodowo-demokratyczne) ułatwiała zachowywanie tej polskości z jednoczesnym akceptowaniem tej drugiej, widomej, efektywnie istniejącej ojczyzny — Rosji. Polska — owszem, mawiano o niej, ale to był już przecie, gdy abstrahować od niepotrzebnego romantyzmu, tylko lamus drogich pamiątek. Pan Baczyński potępiał też — razem ze swym stronnictwem — „szaleńcze utopie”, „źródło narodowej klęski”, którymi to epitetami pokrywał zarówno wspomnienia historii powstań, jak i nowe pasmo szaleńczych wyczynów — organizację nowej siły zbrojnej polskiej w postaci związków: walki czynnej, strzeleckiego, Legionów, P. O. W.¹³ Szczególną zaś nienawiścią ział pan Baczyński, nawet jako człowiek jeszcze bardzo młody — do okresu rewolucyjnych, bojowych wyczynów Józefa Piłsudskiego i Polskiej Partii Socjalistycznej. Kiedy zdarzało mu się wyczytać w gazetach wiadomość o straceniu z wyroku sądowego, czasem zaś — o rozstrzelaniu przez policję na ulicy, którego z bojowców, mimo woli zaciskał pięści i szeptał do siebie: „*A la bonne heure! A la bonne heure!*”¹⁴!!! Dobrze im tak! Buntownicy! Socjały przekłete!” — W kolonii polskiej w Odessie, Kijowie czy Rostowie, wszędzie gdzie mu się zdarzało przebywać, manifestował chętnie swoją orientację. A że miał ostry temperament, więc dostawało się nieraz takiej panience lub studentowi, którzy zbierali np. na walkę z lokautem¹⁵ łódzkim w latach 1905–1908, na ofiary po poległych na manifestacjach w Królestwie, a potem — na umundurowanie oddziałów itp. „Nie daję!” — odrzucał ostro — „i piętnuję! Potępiam!! Tak, będę krzyczał, że szaleństwo, nowa dywersja, nowe nieszczęście narodowe!!” — Nieraz też miewał na tym tle utarczki ze zwolennikami czynnej walki o narodową niepodległość. Rewolucja rosyjska w r. 1917 wyprowadziła pana Baczyńskiego z fazy umiłowania rosyjskiej ojczyzny. Z początku wspomagał czynnie (pieniężnie) wszelkie białe formacje i żywił nadzieje, że to „tałałajstwo zetrą z oblicza ziemi” (dosłowny przekład z rosyjskiego: *sotrut s lica ziemi*), ale po czasie, gdy mu zachorowała jego willa pod Odessą, gdy zaniemógł i nawet zmarł majątek w Połtawszczyźnie, Baczyński zaczął likwidować, jak się dało, swój dorobek życia w rosyjskiej ojczyźnie i „wymigrował” do tej drugiej ojczyzny: eks-lamusa¹⁶, nieprawdopodobnym sposobem ożywionego z niebytu. I tu przeżył Baczyński okres bardzo przykry, bo choć rosyjską ojczyznę utracił — polskiej jednak nie mógł uznać! To bowiem, co widział teraz w Polsce, napawało go najwyższym oburzeniem i wstrętem! Glorifikacja, tryumfalny wjazd, powszechne uznanie władzy człowieka¹⁷, który był niewątpliwie hersztem i duszą tamtych czerwonych bojówek, potem zaś szaleńczych oddziałów smarkaterii — nie tylko nie zgadzało się to z najgłębszymi przekonaniem pana

Polska, Rosja, Ojczyzna,
Patriota, Obywatel, Interes,
Naród, Polityka, Historia,
Przemiana, Pozycja
społeczna

¹³*Polska Organizacja Wojskowa* — tajna struktura polityczno-bojowa o charakterze niepodległościowym założona przez piłsudczyków w okresie I wojny światowej. [przypis edytorski]

¹⁴*A la bonne heure* (fr.) — w samą porę. [przypis edytorski]

¹⁵*lokaut* — zamknięcie zakładu pracy zastosowane w odpowiedzi na strajk lub żądania pracownicze. W roku 1906 roku doszło do lokautu w głównych fabrykach Łodzi. Aby pomóc kilkudziesięciu tysiącom robotników, którzy w wyniku lokautu pozostali bez środków do życia, zbierano datki w różnych miastach i krajach europejskich, m.in. w Petersburgu i Moskwie. [przypis edytorski]

¹⁶*lamus* — tu: składowisko rzeczy starych i niepotrzebnych. [przypis edytorski]

¹⁷*człowieka, który był niewątpliwie hersztem i duszą tamtych czerwonych bojówek, potem zaś szaleńczych oddziałów smarkaterii* — chodzi o Józefa Piłsudskiego. [przypis edytorski]

Baczyńskiego, ale po prostu wykluczało możliwość przyjęcia takiej ojczyzny. Potem — „hańba rządów Moraczewskiego¹⁸”, zjazdy chłopstwa, rady robotnicze — koniec świata!

Baczyński nie uznał tej ojczyzny i przez dłuższy czas był człowiekiem bez żadnej ojczyzny. Założył sobie tymczasem biuro techniczne w Warszawie i niedługo zaczął w tym nieprawdopodobnym kraju nienajgorzej zarabiać.

Jednak przez szereg lat jeszcze Baczyński nie mógł (choć chciał!) przywiązać się do tej ojczyzny. Ustąpił przecie rychło Moraczewski, Daszyński; przychodził Paderewski, Witos, Sikorski¹⁹: Baczyński widział u władzy własne stronnictwo polityczne²⁰ — jednak nic prócz zarabiania pieniędzy, nie dogadzało mu w Polsce. Nic mu nie pachniało. Wszystko było jakoś zupełnie inne od wyobrażeń o ewentualnej (nieprawdopodobnej zresztą) restauracji Lamusa, jeżeli ją sobie kiedy w Rosji wyobrażał. Zasadniczo wstręt do Polski wynikał stąd, że nie czuł się tu — sam nie wiedział dlaczego! — całkiem pewnie: nawet taki strzał Niewiadomskiego²¹, któremu oczywiście współczuł, budził jednak w nim rodzaj niepokoju („A gdyby tak odwet?!”) No a cóż dopiero dni krakowskie w r. 1923²²: wizja „czerwonego”, robotniczego Krakowa! Baczyński miał synowca²³, akademika²⁴, który w dniach tych był właśnie w Krakowie. Młodzieniec ten na całe już życie zachował nienawiść do proletariatu, gdyż twierdził, że w dniach tych, gdy robotnicy walczyli na ulicach, spacerując po mieście w białych getrach nie były przez nich mile widziane: zatrzymano go raz i kazano mu przestać pętać się pod nogami, gdy idzie rozgrywka o życie. Jakiś podobny uraz miał stale Baczyński w stosunku do Polski, jakkolwiek obserwował przecie budowę państwa kapitalistycznego, z zachowaną faktycznie stanową hierarchią.

Szczytowy punkt obrzydzenia do polskiej ojczyzny, zupełnego odwrócenia się od niej przeżywał Baczyński w dniach przewrotu majowego w r. 1926. Odcięty od terenów walk ulicznych w spokojnym Mokotowie, siedział jak trusia w dostatniej willi, nic nie wiedząc, ale przez cały dzień z przestrachem patrzył na chorągiew zamku Belwederskiego: czy nie ustąpi Wojciechowski przed rebelią, bolszewickim buntem, przed drabami, których na latarnię!!! I oto przyszedł pewnego wieczoru moment, kiedy ulice Mokotowa zaroily się od robotniczych postaci z czerwonymi opaskami na ramionach, z karabinami w rękach: postaci te, jak pierwsze jaskółki na wiosnę, sygnalizowały zwycięstwo Piłsudskiego: to robotnicza milicja PPS, przed wstąpieniem zwycięskich oddziałów wojsk na Mokotów, badała i zajmowała dzielnicę. Szarpnął, otworzył okno: minę miał tak wściekłą i rozjuszoną, że młody robotnik, który przechodził właśnie pod kamienicą, zaśmiał się i dla żartu wymierzył w jego okno lufę karabinu. Baczyński zamknął pośpiesznie okno, padł na krzesło przy stole i uronił głowę na ręce, szlochając z żalu i złości, jak dziecko. „Bandyty! — wy! — „bandyci, ścierwo, psia krew!! Koniec! Koniec! Uciekamy!! Nie przeżyję już tego więcej!!!”

W tych pamiętnych chwilach Baczyński był też na przedmieściu tym wyjątkiem, który klaskał entuzjastycznie generałowi Zagórskiemu²⁵ za rozstrzelanie z samolotu robotnic, stojących w ogonku przed sklepem żywnościowym przy zbiegu ulic Puławskiej i Narbutta. Zdarzyło się to nazajutrz po wkroczeniu wojsk do Mokotowa, o godzinie dziewiątej rano: samolot opuścił się tak nisko, że widziano generała Zagórskiego, jak wprawiał w ruch karabin maszynowy. Baczyński skakał przed oknem z zachwytem i bił brawo: „Rycerz!” — wołał — Bohater!! Zbawca honoru!!” Kiedy zaś podnoszono zabi-

¹⁸ *rząd Moraczewskiego* — pierwszy realny rząd niepodległej Polski działający od listopada 1918 do stycznia 1919 roku, zwalczany ostro przez partie prawicowe. [przypis edytorski]

¹⁹ *Ignacy Daszyński, Ignacy Paderewski, Wincenty Witos, Władysław Sikorski* — kolejni premierzy II Rzeczypospolitej w latach 1918–1926. [przypis edytorski]

²⁰ *własne stronnictwo polityczne* — mowa o Narodowej Demokracji, współtworzącej rządy koalicyjne w latach 1923–1926. [przypis edytorski]

²¹ *Niewiadomski, Elżbieta* (1869–1923) — prawicowy fanatyk, zabójca prezydenta Gabriela Narutowicza (16 grudnia 1922), skazany na karę śmierci; z wykształcenia i zawodu malarz, wykładowca historii sztuki. [przypis edytorski]

²² *dni krakowskie w r. 1923* — mowa o krwawo stłumionych przez policję strajkach robotniczych. [przypis edytorski]

²³ *synowiec* — bratanek. [przypis edytorski]

²⁴ *akademik* — tu: student uniwersytetu (akademii). [przypis edytorski]

²⁵ *Zagórski, Włodzimierz* (1882–1927?) — generał brygady, dowódca i organizator lotnictwa polskiego. W roku 1926 oskarżony o osobiste ostrzeliwanie wojsk Piłsudskiego, aresztowany. Zaginął, prawdopodobnie zamordowany przez piłsudczyków. [przypis edytorski]

tą kobietę i robotnicy, zaciskając pięści, biegli do miejsca wypadku, Baczyński syczał: „Dobrze jej tak! Dobrze! Z pewnością bolszewiczka, jak oni wszyscy!”

Po tych wypadkach, w ciągu roku czy dwóch, nie było dla Baczyńskiego żadnej ojczyzny, zdecydowanie nie. Zarabiał wciąż nienajgorzej, ale przemyślał wciąż o emigracji i ciulał sobie po trosze pieniądze w zagranicznym banku. Dopiero w r. 1929 zdarzył się w życiu Baczyńskiego epokowy przewrót: oto odzyskał ojczyznę!

Stało się to tak. Późno jesienią zjawiał się u niego synowiec (ów obiecujący młodzieniec w białych getrach) i po dłuższym opowiadaniu o własnym życiu i własnych zdobyczach oznajmił Baczyńskiemu, że oto teraz ojczyzna go potrzebuje i że przychodzi (zapewne w osobie synowca) pozyskać go dla pracy „społecznej”. Wyłożył mu zasady solidaryzmu społecznego, scharakteryzował i zanalizował rolę, udział i widoki różnych klas społecznych w budowie aktualnej rzeczywistości polskiej, udowodnił konieczność „współpracy z rządem” tak zwanych „sfer gospodarczych”. Odmalował oczywiście dość plastycznie niewątpliwe zdobycze i wygody, jakie wynikną dla tych sfer z tej współpracy. Okazało się, że synowiec już był czynnym działaczem BBWR²⁶ w stolicy. Proponował Baczyńskiemu zbliżyć się za jego pośrednictwem do wybitniejszych działaczy tej orientacji w przemyśle, obiecał zapoznać go z paroma wyższymi urzędnikami gospodarczych resortów i umówił się konkretnie wprowadzić go w najbliższych dniach na brydża do jednego z eksponowanych w tym ugrupowaniu ludzi.

Baczyński od pewnego czasu miał już własne refleksje, zbliżające go cokolwiek do ojczyzny, ale jednak miał jeszcze dużo obaw i wątpliwości; zadał tedy synowcowi pytanie: „No, dobrze, mój drogi! Wiem przecie, że to jest dyktatura! Zapewne bliższe mi to jest niż rządy robotniczo-włościańskie! Ale powiedz ty mi, czy Jemu naprawdę można wierzyć? Życie Jego, to całe życie nie budzi zaufania, rozumiesz! A i teraz, ten maj: te sankiuloty²⁷ popierały Go. A Zagórskiego pamiętasz?... Czy aby można wierzyć panu Piłsudskiemu, że nagle nie skręci do socjalizmu?” — Synowiec energicznie rozwiał te wątpliwości. Dawne sprawy nie mają znaczenia. Mussolini był też dawniej socjalistą, a jednak zadał śmiertelny cios światowemu socjalizmowi. Zresztą — czym się ryzykuje?! Trzeba spróbować: im więcej ludzi dobrze myślących skupi się koło rządu, tym pewniejsze utrzymanie status quo i większa możność przeciwdziałania destrukcyjnym prądom. Dorzucił też praktyczne argumenty, proponując Baczyńskiemu rozszerzenie jego dotychczasowej „gospodarczej” płaszczyzny działania. W końcu Baczyński dał się namówić. Pomiędzy owym pierwszym brydżem a objęciem zarządu w fabryce „Szpilka” minęło blisko siedem długich (i tłustych dla Baczyńskiego) lat, urozmaiconych powodzeniem w interesach, imponującym rozwojem stosunków towarzyskich w „miarodajnych” sferach, nabyciem kilku „obiektów”: willi w Gdyni, willi w Krynicy, mająteczku w Kieleckiem. W miarę posuwania się po tych szczeblach majątku i kariery, uczucia Baczyńskiego dla polskiej ojczyzny nabierały coraz większej rzewności, coraz gorętszej temperatury i natężenia. Powstał nawet w nim jakiś skomplikowany stan: mieszaniny dumy, zapału i zadowolenia, że służy tak wybitnie ojczyźnie.

— Nie tylko Polakiem trzeba być — mawiał teraz — ale dobrym Polakiem!

Uwijał się też z młodzieńczą energią wszędzie, gdzie tylko mu wypadało, pozyskiwał dla obozu cennych ludzi ze środowiska inżynierów, handlowców, przemysłowców. Robił nastroje wyborcze. Należał do wskazanych stowarzyszeń. Pomiędzy brydżem w domu, a polowaniem w majątku, łowił nowe potrzebne znajomości i zamocowywał je wszelkimi dostępnymi węzłami. Dużą pomocą w tym wszystkim stała mu się żona. Rozstał się bowiem przed pięcioma laty z poczciwą, niemłodą, mało elegancką kobietą, która zapewne odegrała w jego życiu dobrą rolę, ale w młodości i w rosyjskiej ojczyźnie. W nowych warunkach, wobec potrzeby wmontowania się w aparat nowej, polskiej ojczyzny, okazywała się nie na miejscu: zbyt ciężka, zbyt naiwna, mało dowcipna i w ogóle dziwaczka. Odeszła z wielkim żalem i uprowadziła dorosłą prawie córkę, udzielając mu zresztą rozvodu niemal bez słowa. Wypłacał jej skrupulatnie niewielką sumkę na utrzymanie w małym prowincjonalnym miasteczku, gdzie miała krewnych.

²⁶ *Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem* — powołana po zamachu majowym partia, mająca za zadanie walczyć z „partyjniactwem” i konsolidować społeczeństwo wokół obozu sanacji. [przypis edytorski]

²⁷ *sankiuloci* — pogardliwa nazwa stosowana w czasie rewolucji francuskiej przez stany wyższe w odniesieniu do radykałów wywodzących się z warstw niższych. [przypis edytorski]

Nowa żona spadła mu jak z nieba. W błyskawicznym tempie montowała jego karierę w nowej ojczyźnie. W ogóle jego życie szło teraz w błyskawicznym tempie. Młoda, wyzywająco przystojna kobieta nie traciła czasu. Spotkał ją w gronie swych nowych politycznych przyjaciół, na jednym ze zjazdów społeczno-politycznych. Zaimponowała mu od razu wielką bystrością umysłu. Siedzieli właśnie w grupie kilkunastu osób i pili w restauracji szampana, gdy ktoś z obecnych zaczął wspominać czasy wojenne. Wywiązała się stąd rozmowa, kto i gdzie był. Baczyński asystował bardzo pannie Zosi i nie bardzo też śledził wątek rozmowy. W pewnej chwili szepnęła mu do ucha:

— Gapi się pan!! Towarzystwo legionowe! Musi pan tu coś skłamać!

Oślupiał z podziwu: dotychczas jeszcze nie próbował tej drogi. Przyjrzała mu się uważnie i oceniła od jednego spojrzenia, że nie potrafi zręcznie skłamać w tej dziedzinie. Wyczekała tedy chwilę, a potem opowiedziała towarzystwu przeżabną historijkę o swoim wuju, który razem z tym oto panem Baczyńskim schował podczas rewizji skład broni w łóżku chorej na fluksję ciotki, sam widok której zniechęcił młodych żandarmów do głębszych poszukiwań. Towarzystwo — podgazowane — wypytywało o weselsze szczegóły i tak oto Baczyński został „niepodległościowcem”.

Był wprawdzie moment, kiedy bystrość umysłu Zosi sprawiła mu dużo mniejszą przyjemność. Baczyński zapoznał się z jej rodzicami — zrujnowana ziemiańska rodzina z Podola. Brał stuprocentową pannę, śliczną dwudziestodwuletnią dziewczynę. Po ślubie, rozanielony, dokonał pewnego odkrycia które zwarzyło mu humor.

— Zosiu! — powiedział kwaśno. — Nie mam żadnych pretensji, oczywiście... — Długo milczał. — Ale mogłaś mi powiedzieć!

Odwróciła się ostro do ściany i odpowiedziała krótko, ucinając łeb niepotrzebnej rozmowie:

— Mój drogi! Nie umiesz się rozpoznać!

Zamilkł z podziwu: nie spotykał jeszcze takiego tupetu. Ale nie poruszył już drugi raz tej kwestii. Zosia zaś już nazajutrz oświadczyła mu, wstając:

— Małżeństwo, mój drogi, porządne polskie małżeństwo, musi mieć dzieci! Staraj się o to piorunem! Jedź do wód albo jak, jeżeli nie jesteś siebie pewny: jesteś dużo starszy ode mnie. Ja przeznaczam na to macierzyństwo tylko pierwszy rok.

Pod urokiem tej diabelskiej dziewczyny, Baczyński starał się jak mógł. Miała więc z nim dziecko, syna. Karmiła go dwa tygodnie, po czym odstawiła od piersi i zajęła się swym biustem. W jednym dniu były dwie odrębne narady: jedna, dotycząca pielęgnowania biustu i doprowadzenia go do idealnego kształtu po doznanych zmianach, druga — hodowli syna przez pielęgniarkę i sztucznego żywienia. Gdy zaś Baczyński próbował wtrącić do opinii lekarza i swoje zdanie, że jednak trzeba jeszcze małego karmić mlekiem matki, Zosia spiorunowała go wzrokiem i kategorycznie odrzuciła wszelkie dalsze rozmowy na ten temat:

— Moje piersi czy panów wchodzi w grę?! Więc szkoda gadania!

Baczyński usunął się: to była indywidualność!

Po urodzeniu syna pani Zosia zajęła się montowaniem kariery męża (i własnej sytuacji materialno-towarzyskiej) na własną rękę. Umiała to pierwszorzędnie. Gdy potrzeba było pozyskać sobie poparcie czy sympatię osób starszych i o pojęciach więcej starodawnych, pani Zosia wybierała się z wizytą w skromnej gładkiej sukience, z twarzyczką pozbawioną wszelkiej szminki: całowała starsze panie w rękę, nie lubiła współczesnej sztuki, a już broń Boże — literatury!

— Może to śmieszne, może jestem staromodna na swój wiek, ale dla mnie nie ma lepszej lektury jak *Rodziewiczówna*...

Nikt jej wprawdzie nie wierzył, ale uważano to za miłe. Gdy zaś trzeba było uzyskać jakąś przychylną opinię o mężu w urzędzie, zbierała skrzętnie wszystkie wiadomości o danym (zawsze wysokim) urzędniku i wówczas, odpowiednio ubrana, przychodziła w tej sprawie do biura. Sposoby jej były jednostajne, nie trudziła się nad ich urozmaicaniem, bo nie było potrzeby: działały. Siedząc, w rozmowie, zakładała nogę na nogę i w pewnej chwili podnosiła sukienkę tak, żeby było widać nogę wyżej kolana. Obliczenie było bezbłędne: jeżeli natrafiała na cnotliwego, skromnych obyczajów pana (taki unikat mógł się też przecież zdarzyć), no to najwyżej spuszczał oczy i nie podnosił tej zaczepki. To się zdarzyło pani Zosi tylko raz, na niezliczoną ilość takich wizyt. W przeważającej liczbie

wypadków zaczepkę tę — mniej lub więcej aktywnie — przyjmowano i albo wystarczał sam widok nóżki dla uzyskania potrzebnej opinii, albo następowało pogłaskanie nóżki albo — i to najczęściej — małe spotkanie, krótki wyjazd za miasto.

Pani Zosia zapatrywała się na to filozoficznie: „Nie ubędzie mi” — „Nie zabiorę tego do grobu” — to były jej aforyzmy. A sprawy bywały załatwiane i kariera posuwała się naprzód.

Czy Baczyński o tym wiedział? Pozostaje to tajemnicą. Ale gdyby wiedział, należy sądzić, że przyjąłby i to na rachunek ofiar i poświęceń dla ojczyzny, którą już naprawdę kochał!

Pani Zosia była też specjalistką od urządzania obiadów z niezbędnymi ludźmi. A jakże. Wszystko wtedy bywało „ef-ef”²⁸. Zastawa, treść obiadu, napoje, kawa. Światła do brydża, i w saloniku, i w buduarze. Sama u siebie na przyjęciach nie grywała. Musiała czuć. Czuwała precyzyjnie. Gdy pito, umiała spojrzeć na obiecującego dyrektora departamentu, podnieść kieliszek w górę i wypić zdrowie... „pana ministra”. A gdy oponował że nie, że wcale nie zanosi się, uśmiechała się łagodnie i znacząco. I mówiła:

— Że nie, to wiemy. Ale będzie pan, będzie!

Dziesiątki wpływowych i często niegłupich panów pozyskiwała sobie właśnie tym sposobem. I z kobietami umiała sobie radzić. Czasem, siedząc przy wpływowej pani, nagle podnosiła jej rękę (czasem — łapę niedźwiedzią) i mówiła półgłosem:

— Ta linia, ta... bardzo oryginalne!...

Gdy w polowaniu w ich majątku wziął udział minister (czasem taki biedak w półsetce wieku dopiero uczył się rozpoznawać²⁹ w polowaniu), umiała rzucić do kogoś uwagę:

— Pan minister ma w sobie to naturalne zrastanie się z przyrodą! To rasowy myśliwski dar!

Minister, zadający sobie piekielny trud takiego szkolenia w późnym wieku, notował taką uwagę w bardzo wdzięcznej pamięci. Mógł rozumieć, że odnosiła się ona bardziej do ministra niż do niego: ale to było miłe, zręczne, to wdzięcznie brzmiało w powietrzu... to robiło dobry nastrój! Dodawało humoru!

Tak więc posuwała się w życie młoda pani Baczyńska, a odmłodzonemu, niepodległościowo brzmiącemu teraz Baczyńskiemu świeża już Polonia Restituta³⁰...

Pani Zosia miała wrodzony dar organizacji pracy, podobnie jak majster Zielnik, tylko na innym terenie i przy innych możliwościach. Wrodzone wycucie zasad strategii dyktowało jej wyznaczanie punktów, przeznaczonych do kolejnego opanowania.

— Mamy trzy najważniejsze punkty w mieście, których zdobycie zapewni wspaniały rozkwit twjej kariery — mówiła do męża. — To Izba Skarbowa, DOK³¹ i oczywiście, przede wszystkim wojewoda. Prezes Izby Skarbowej ułatwi ci rozwój twojej placówki, DOK... no wiesz, to nie jest bezpośrednio, ale wolę zawsze z tymi sztabami, dwójkami³² itd. być w zgodzie i mieć tam dobrą markę... No, a dobre stosunki z wojewodą: to jest dziś właściwie wszystko! Izbę Skarbową ja biorę na siebie, bo tam jest taki dalszy kuzyn tatusia i znamy się jeszcze z Kresów... Nie myśl nic takiego, bo miałam parę lat, jak to już był dojrzały pan... Rozumiesz, rodzinna życzliwość, wspólne środowisko!... Wojsko? No musiałabym też wziąć na siebie, bo cóż ty tam wskórasz! Że też naprawdę nie umiałeś w porę przystąpić do tych tam Legionów albo choć już do tego Przewrotu Majowego, gdybyś się choć tam kręcił!

(Baczyński przypomniał sobie skrycie, jak klaskał wycynom generała Zagórskiego.)

— Trudno, nie masz za grosz zmysłu organizacji życia... Więc i to ja. Choć tu mam tremę, bo generał wydaje mi się niewrażliwy, a znów generałowa, bardzo określona... brrr... Trudno. Biorę i to. No, a co do wojewody, to trzeba działać na dwa fronty. To

²⁸ef-ef — świetnie, doskonale. [przypis edytorski]

²⁹rozpoznawać — tu: rozeznawać. [przypis edytorski]

³⁰Polonia Restituta — polskie państwowe odznaczenie cywilne, nadawane za wybitne osiągnięcia na polu oświaty, nauki, sportu, kultury, sztuki, gospodarki, obronności kraju, działalności społecznej, służby państwowej oraz rozwijania dobrych stosunków z innymi krajami, ustanowione przez Sejm Rzeczypospolitej ustawą z dnia 4 lutego 1921 jako najwyższe odznaczenie państwowe po Orderze Orła Białego. [przypis edytorski]

³¹Dowództwo Okręgu Korpusu — terytorialny organ Ministerstwa Spraw Wojskowych w latach 1921–1939. [przypis edytorski]

³²dwójka — oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, zajmujący się wywiadem. [przypis edytorski]

jest współczesny, światowy człowiek, już ja mam o nim dobre wiadomości... To biorę na siebie ja.

Ty do sportów, nart, polowania jesteś śmieszny: nawet lepiej się nie zabieraj, przeskodzisz mi. Ja mam trening w nartach, sznyt w tańcu, no i wiesz w ogóle... Nie wiem tylko jeszcze, czy on ma temperament, czy też tylko takiego kręcka?! Rozumiesz, nie idzie mi o coś takiego, tylko sam wiesz, że człowiek chce albo nie chce przebywać w towarzystwie kobiet, chce lub nie chce dogodzić... Ty znów masz przy nim swoje określone zadanie. Wiesz, słyszałam w klubie, że ten człowiek nie utrafia³³ do „stylu” miasta; no wiesz, do tych historycznych pamiątek, zabytków itd. Ja myślę: współczesny człowiek, co go to obchodzi! Otóż podobno to mianowanie go nie wzbudziło zachwytu nawet w tych, wiesz, „stuprocentowych” legionowych sferach... Otóż wyraźne twoje zadania: podmurowywać go w tak zwanej opinii... Masz znajomych, kręcisz się cały dzień między ludźmi, masz wielkie interesa, wyjazdy, przyjęcia, bywasz u różnych ludzi... Przyłóż się do robienia mu tej podmurówki!... Czy to ostatecznie pomoże mu czy nie, to, prawda, nie może nas bliżej obejść: ale za to taka rzecz od razu się rozniesie po mieście, on się dowie, że działasz bezinteresownie ku jego podtrzymaniu, podmurowywaniu autorytetu itd. Słowem, propaństwowa działalność...

— Prorządowa — wtrącił Baczyński, pogrążony zresztą w pracowitych rozmyślaniach na tematy, poruszane przez genialną żonę.

— Propaństwowa!! — odrzuciła z temperamentem pani Zosia — zupełnie nie nadajesz się do polityki: propaństwowa, to mocniej, szerzej i trwalej. I lepiej brzmi, bardziej przekonująco.

Zabrali się tedy wspólnie i pracowicie do wykonywania tego planu. Sympatie decydujących „ciał” w urzędach skarbowych pani Zosia pozyskała piorunem. Wspólność środowiska, kresowe wspomnienia działały. Bardzo mało straciła nawet na to czasu. Wojskowe za to sfery nie poszły łatwo. Tam panowało jednak jakieś sekciarstwo. Nieprzyjemna generałowa była w młodości nauczycielką, peowiaczką³⁴ i powiastki pani Zosi na temat broni w łóżku ciotki (które ze skutkiem nieraz już powtarzała) spotkały się tu, zamiast z dobrze wychowanym potakiwaniem — z nieufną kontrolą: w czyim domu, kiedy właściwie, z kim, z czyjego polecenia, w jakim kontakcie itd. Nieszczęście chciało, że miasto wymienione przez panią Zosię było generałowej jak najlepiej znane właśnie z tego okresu konspiracji: imiennie знаła tam cały, szczupły i dobrany, skład odpowiedzialnych cywilnych konspiratorów oraz żołnierzy delegowanych w okresie wojny dla celów konspiracyjnych. Pani Zosia wpadła, jak nigdy w życiu: męczące wypieki wystąpiły na delikatnie umalowaną twarzyczkę.

Generałowa zastosowała się wprawdzie natychmiast do wymogów dobrego wychowania, wycofała z tej rozmowy, zapytała o dziecko, ale oba małżeństwa odczuły, że nic z tej znajomości nie będzie. Baczyńscy prędko wyszli, a generałowa określiła ich jednym, dosadnym słowem: „Hochsztaplerzy”. Generał, spokojny, beznamiętny filozof, sprostował to z wielkim umiarem: „Przesada!! O tę broń ci chodzi? No to przecie w BB³⁵ przynajmniej co trzeci człowiek wymontował dziś sobie jakąś historię niepodległościową! Baczyńskiego zaliczają poza tym do zupełnie pewnych i do ważnych ogniw w gospodarczych sferach... Poślemy im bilety i na tym się skończy”.

Kompleks wojewody, w myśl planu, małżeństwo opracowywało wspólnie. Tak z miejsca o jakiejś ofensywie nie było co myśleć, bo wojewoda miał wysokie stosunki, wysokie mniemanie o sobie i wcale się nie przykrawał do prowincji. To miało być czasowe, ta prowincja. Przez kilka miesięcy nawet nie otwierał domu: wstęp małżeństwa z wizytą, choć mieli już drogi, nie był wskazany. Ale pani Zosia nie darmo pochodziła ze starej, dostatniej rodziny ziemiańskiej i we krwi już, jak mawiała, „prócz kozackiego temperamentu” miała umiejętność obracania się dokoła swych celów i zamierzeń, a zwłaszcza gdy wchodziły w grę „tricky” towarzyskie. Więc właśnie pierwszy okres, nim wojewoda otworzył swój dom, jako dom rodzinny, nadawał się najlepiej i dla strategii pani Zosi, i dla „roboty” pana Baczyńskiego.

³³utrafiac — tu: pasować. [przypis edytorski]

³⁴peowiaczka (pot.) — członkini P.O.W., tj. Polskiej Organizacji Wojskowej, założonej przez pilsudczyków w okresie I wojny światowej. [przypis edytorski]

³⁵BB — popularny skrót od BBWR. [przypis edytorski]

Pan Baczyński działał z dala i został tylko przygodnie raz przedstawiony wojewodzie na jakiejś uroczystości. Ale pani Zosia w parę tygodni po objęciu przez wojewodę urzędowania dojrzała już do osobistej, mniej formalnej znajomości. Urządziła to sobie wcale pomysłowo. Poszła w składzie delegacji od stowarzyszenia dobroczynnego, które miało wyraźną fizjonomię endecką i zachowywało się dotąd w stosunku do władz z wielką rezerwą.

Pani Zosia wkupiła się do tego stowarzyszenia znacznym datkiem, podparła się osobą jednej z wpływowych tam pań, którą potrafiła sobie pozyskać i osobiście zobowiązać; skłoniła do wyłonienia takiej delegacji, dotyczącej urządzenia kolonii dla dzieci bezrobotnych z pomocą województwa. Gdy przed wojewodą usiadły trzy panie, dwie z nich określił sobie w myśli jako „krowy”; trzecia była urocza i niezwykle zgrabna, zafascynowała go też z miejsca. Gdy mianowicie zorientował się w reprezentowanej organizacji, zauważył, iż jest mile zdziwiony tym kontaktem, gdyż na dotychczas zajmowanych stanowiskach spotykał się nieraz z nieufną postawą tej organizacji, a co najmniej — z niezycliwą powściągliwością. Dwie krowiaste paniusie, wyczuwając niezręczność sytuacji zaczęły coś bąkać, ale pełna temperamentu pani Zosia spiorunowała je wzrokiem, wojewodzie zaś odpaliła prosto z mostu:

— To wszystko, panie wojewodo... muzyka przeszłości! — przy czym roześmiała się tak czarująco i zaraźliwie, że z nią razem śmiał się i wojewoda, i nawet zaczęły się uśmiechać obie panie. Gdy wojewoda żegnał delegację, obiecując na pewno poparcie, podziękował im za nawiązanie miłego kontaktu, na co otrzymał odpowiedź pani Zosi, równie jak pierwsza kategoryczna:

— To już jest efekt przybycia tu pańskiej Osoby, Panie Wojewodo! Sobie tylko Pan zawdzięcza takie zmiany!!

Bardzo mile zmierzyl się oczami. Wojewoda odniósł i zapamiętał sobie jak najkorzystniejsze wrażenie. — Pani Zosia stosowała zmienną taktykę: czasem dawała odczekać, czasem „kuła na gorąco”. Psychikę wojewody zanalizowała w kierunku potrzeby „kucia na gorąco”: może był rozproszony i nie zanotuje sobie w pamięci? Toteż wybrała się nazajutrz wieczorem do dancingu (mąż był poza miastem) z parą starszego, życzliwego małżeństwa skarbowców, które pragnęło (wspólność środowiska) umożliwić Zosińce porządne wytańczenie się. Pani Zosia miała dokładne wiadomości, że wojewoda jest obecny w mieście i że tu przyjdzie około dziesiątej. Rzeczywiście przyszedł z dwoma panami, zapraszał do tańca upatrzone na sali damy i prawie natychmiast dostrzegł, poznał i ocenił panią Zosię. Była w skromniutkiej, gładkiej sukience dancinowej z kawałkiem futra, pozwalającej widzieć tylko całe plecy. Kontrastował z tym prowokacyjnie przód, osłonięty aż po gardło. Nie była już wcale podobna do delegatki w biurze: była po prostu olśniewająco efektowna, piękna. Wojewoda znał małżeństwo skarbowców, zresztą znany był z tego, że nie hołdował żadnym towarzyskim ceregielom. Zaprosił więc natychmiast panią Zosię, a że tańczyła bez zarzutu, więc tańczył z nią tylko przez cały ten wieczór. Przypadli przy tym sobie do gustu tak walnie, że nie mogli wcześniej zakończyć zabawy. Toteż starsze małżeństwo (taktowne dzięki wspólności środowiska) bardzo przeprosiło wprzód panią Zosię, że musi iść już spać, potem pana wojewodę, że musi obarczyć go obowiązkiem odwiezienia przemilej pani Zosińki do domu, w ich zastępstwie. Nieskrępowana porą, pani Zosia dała się odwieść do domu o trzeciej nad ranem, wprost z dancingu. Wojewoda prosił o częstą możliwość takich spotkań, bo zrobili wspólną obserwację, że są jakby „od razu stańczeni” ze sobą, a dla dobrych tancerzy — no, to się wie, taka okazja nie jest do pogardzenia...

Pani Zosia dodała tu marząco, że rzeczywiście, to się rzadko zdarza: nie tylko podobne odczuwanie muzyki, rytmu tańca, ale i chyba dobrana budowa ciała, nóg, ramion... „Tak się dobrze układamy ze sobą, nieprawdaż?” Że zaś układała się i miła rozmowa, i wspólne zainteresowania sportowe, więc oboje uznali znajomość za wymarzoną. „Sztama” została zawarta i odtąd pani Zosia — ile razy chciała — mogła spędzić z wojewodą czas na dancingu, w doskonałych warunkach poruszania różnych tematów przy kieliszku likieru lub wina, lub jeszcze lepiej — z ust do ust, z bliskiej odległości postaw współczesnego tańca.

Echa „roboty” Baczyńskiego, oczywiście doprowadzone do wojewody, nie potrzebowały już nawet nic dodawać do sytuacji: wojewoda zanotował sobie ten dom w szeregu domów życzliwych. Toteż, gdy Baczyński przy jakiejś okazji przedstawił się powtórnie

województwie, w biurze, spoglądając mu przy tym z oddaniem w oczy, wojewoda po prostu uściśnął mu rękę i powiedział: „Panie, ja jestem człowiek czynu, nie lubię zbytecznych słów! Znam pana i panią. Krótko: mam do państwa zaufanie! Przepraszam pana, ale mam telefon!”.

Była to jedna z chwil, w których Baczyński poczuł uwielbienie dla tego typu ludzi.

— Jakże głupio sądziłem ich — mówił w domu do genialnej żony. — To morowcy! Morowcy, wszystko piorunem, od razu zrozumiane, od razu sztama!!

A żona pokiwała głową:

— Bo ty się nie bardzo umiesz rozeznąć.

W fabryce Baczyński nie przesiadywał dużo. To był za mały dla niego interes. „Kierował” oczywiście, ale z góry. Miał tam zespół wyszkolonych i pewnych ludzi. Miał zresztą poza tym inne, większe i dużo bardziej dochodowe interesy przy montażu „gospodarczego dobrobytu państwa”. Wszystko oczywiście — propanstwowe rzeczy! Nie mógł się więc zacieśniać do wąskiego odcinka.

Jednak kierował fabryką sprężycie i dobrze wiedział, co się tam dzieje. Krótkie błyskawiczne rozmowy, jakie odbywał w fabryce, aż nadto o tym świadczyły.

Gdy aresztowano Jackowskiego, zaniepokoił się.

— Co jest?! Może tu się dostała opozycja? — zainteresował kierownika administracyjnego, pana Pańkowicza.

— Ależ nie, panie prezesie! Nic takiego! Mamy całe sto procent prorządowców.

— No, to jakże, dlaczego urząd śledczy?

— Panie prezesie — powiedział Pańkowicz — sądzę, że to jakieś skutki osobistych tu między robotnikami rozgrywek. Ale co nam do tego? Posiedzi i pójdzie na bezrobocie, my wzięliśmy już na to miejsce innego.

— No, naturalnie — konkludował prezes — nam z pewnością nic do tego, tylko patrz pan, bo ja nie chcę u siebie opozycji!

— Będę uważał, panie prezesie.

Po jakimś czasie wypłynęła kwestia sprzeciwu robotników w sprawie nieprawidłowego ich obliczania³⁶. Pańkowicz zaraportował, że inspektor pracy inżynier Miernik już od kilku miesięcy o tym napomyka, nawet chciał sam mówić z prezesem.

— A o czym mam z nim mówić? Dobry sobie!! Co się dzieje? Czy pan tam naprawdę ich krzywdzi?!!

Pańkowicz uśmiechnął się z wdziękiem.

— No panie prezesie, pan ma doświadczenie... Zaokrąglić wypada: to czy mam na korzyść ich, czy firmy?!

Baczyński aż odsunął się z krzesłem z oburzenia.

— O takie głupstwo? Także coś!! A oczywiście, że na korzyść firmy! Proszę pana, każe! Toż bolszewicy chyba u nas pracują, nie? Nie będę gadał z Miernikiem! I tak pojutrze mam z nim brydża u dyrektora banku, to mu wygarnę! Dobry sobie! Dzwonił dziś jeszcze? To oddzwon mu pan: powiedz mu, że owszem, byłem, słyszałem i niech nam z tym głowy nie zawraca! A jak nie umie sobie z robotnikami radzić, to mu zwolnię całą tę załogę i znajdzie dziś zaraz takich, co bez książeczki i bez obliczeń, za sam tylko chleb pracować będą!

— Pańkowicz krytycznie przysłuchiwał się temu wybuchowi pasji dyrektorskiej.

— Oj, panie prezesie! Nie jest już dziś tak dobrze, jak było w 1932, '33 roku... Oni tu jakoś w oczach twardnieją, panie prezesie!

Baczyński nie lubił „zawracania głowy”.

— Panie, co pan mi tu krakać przychodzisz! Ja już raz w Rosji przeżywałem bolszewizm, bez światła w domu, bez wody, bez klozetu i wszystkie te ich socjalistyczne przyjemności!... A tu w Polsce przeżyłem taki strach w tym dwudziestym szóstym roku, kiedy się bałem, że socjalizm wprowadzać będą... Teraz nareszcie żyję, wiem, że mam Polskę, ojczyznę jak się patrzy: dobre stosunki z wojewodą, z każdym. A pan mi tu na nerwy działa!! Pesymista pan, czy źle pan trawi?! Nie chcę tego słuchać! Masz przecie pan Gałkowskiego! Siadywał z nami, psia jego mać, na różnych akademiach i tam dalej, to niech teraz działa!! No co jeszcze?! — dodał, widząc zakłopotany uśmiech urzędnika.

³⁶ich obliczania — naliczania zarobków. [przypis edytorski]

— Panie prezesie — powiedział skromniutko Pańkowicz — no boję się już mówić, bo pan prezes mi wymyśla od pesymistów... Ale i Miernik, i Gałkowski, nie mają już tu u nas wiele do gadania... Tu się tworzy jakoś samorzutnie... Kto ich tam wie jak... Wśród tych świętej cierpliwości chłopów, głuptasów... tworzy się jakiś wspólny front...

Baczyński porwał za kapelusz i ostro podał mu rękę.

— Pan masz chore nerwy albo tam coś u pana nie działa! Przewietrz się pan dobrze, wyładuj, bo masz jakies... szkodliwe urojenia! Żegnam. Sam załatwię z Miernikiem!

Tak pod władzą spółki z nieprawdziwego zdarzenia: dyrektora, delegata, inspektora pracy w państwie o demokratycznych, robotniczych ustawach ochronnych, w warunkach zupełnego lekceważenia sobie wszelkich ludzkich praw robotnika, powstawał, jakby z oparów bagnistej mgły, ów tajemniczy, nienawistny dla jednych, zbawienny dla drugich — robotniczy front...

IV. INSPEKTOR PRACY

Robotnicy fabryki trykotaży pod firmą „Szpilka” prócz społecznego zastępcy w osobie delegata Romana Gałkowskiego, mieli stałego urzędowego zastępcę na mocy ustaw prawnych — inspektora pracy. Obwodowy inspektor pracy, inżynier Jan Miernik, objął „Szpilkę” pod nadzór przed dwoma laty. Miernik należał do rządu ludzi bardzo ułożonych towarzysko; był nie tylko uprzejmy, ale układny i bardzo grzeczny: w manierach jego, sposobie podawania i brania ręki, w wyrazie oczu i sposobie zaglądania w oczy rozmówcy było dużo słodczy lepkiej jak miód i ciepłej, miękkiej jak trykoty. Tę cechę słodczy, przelewającej się na zewnątrz (ale nie dotykającej wnętrza Miernika) przeniósł on poprzez całe swoje życie. Z tą słodczą zdał maturę i zrobił dyplom politechniki rosyjskiej przed wojną, z tą słodczą posuwał się w Polsce po szczeblach służby inspekcyjnej, dziwił się w roku 1918 konfliktowi dokoła białego orła („Po co było zdejmować, ale jak już się stało, to po co było wkładać z powrotem tę koronę?”). Z tą samą słodczą przeprowadzał drobne walki i intrygi w środowisku służbowo-koleżeńskim, konstatawał w sobie nagle usposobienie do przyjęcia teorii „führeryzmu” (wodzostwa), bronił się przeciw wyciąganiu konsekwencji ze swego oportunistycznego, nijakiego, niesumiennego spełniania obowiązków inspektorskich. Słodczy więc — miodowo-trykotowa — towarzyszyła wszystkim życiowym wyczynom i zdobyczom Miernika. Pierwsze zetknięcie jego z robotnikami w nowym ośrodku czy też fabryce (Miernik często zmieniał miejsca urzędowania) bywało również pod znakiem słodczy, bardziej umiarkowanie wydzielanej niż w innych środowiskach („Nie możemy się spoufalać jako urzędnicy!”), ale dostatecznej, żeby dobrotliwe środowisko robotnicze odpowiadało na razie dobrym przyjęciem. W wielu ośrodkach swego urzędowania i nawet przez długi dość czas Miernik utrzymywał dobrą opinię o sobie tylko dla tej jednej przyczyny: nie bywał szorstki ani surowy. Była więc to jego sztuka życia i urzędowania.

Miernik był inspektorem pracy od początku tworzenia inspekcji w niepodległej Polsce i słusznie mógł się uważać za jednego z najbardziej doświadczonych, znających warunki urzędowania inspektorów. Znał rzeczywiście znakomicie wszystkie możliwości wymijania się na tym urzędzie z istotną pracą, znał dokładnie psychikę urzędników ministerstwa pracy, całą atmosferę wahań i ewolucyj, w której, jak w parującym kuble, wygotowywało się kierownictwo urzędu tego w Polsce. Umiał tedy wychodzić zwycięsko z każdego niebezpieczeństwa i z każdego zamieszania. Urósł też do miary zdolnego urzędnika, ustosunkowanego inspektora pracy, typu uważanego niekiedy przez władze za raczej dodatni. Od wielu inspektorów pierwszego okresu Polski różnił się gruntownie brakiem wszelkiego zainteresowania pracą inspekcyjną. Zresztą, umysłowość Miernika, klasycznie płytka, nie dopuszczała w ogóle żywszych i głębszych zainteresowań umysłowych. „Wyżywał” się on i wyładowywał na całkiem innych odcinkach. Kochający żonę i ojciec, chętnie pomnażał liczbę członków swej rodziny i w wieku około lat czterdziestu, miał już sześcioro dzieci. Rodzinne instynkty nakazywały mu pieczołowite dbanie o swoją gromadkę: dzieci powinny być mieć dobre warunki, sport, letniska, wycieczki, odpowiednią odzież, naukę języków obcych poza szkołą, muzykę, plastykę itp. To wszystko razem bardzo dużo kosztowało i bardzo trudno było na to wszystko zarobić. Miernik

uważał się za klasycznie uczciwego człowieka. W obrębie jego pojęć o uczciwości mieściły się jednak od samego początku takie np. rzeczy: gdy zawarł z pewną fabryką wyrobów wełnianych umowę, dotyczącą sprzedaży wyrobów urzędnikom ministerstwa na raty, nie wahał się liczyć kolegom drożej niż sprzedawała mu firma, poczytując różnicę za słuszne wynagrodzenie swego pomysłu i osiągniętego porozumienia. Była to rzecz, która w koleżeńskim gronie już dawno, w najmłodszych latach życia polskiej inspekcji określiła oblicze Miernika. Wprawdzie zatuszowano tę sprawę; ktoś, kto uczynił to odkrycie, zgodził się nie wynieść tego poza obręb urzędu; kontaktowanie się urzędu i urzędników ze światem przemysłu i handlu dość prędko wyłobilo ścieżkę wątpliwości etycznych w tej dziedzinie: „Czy to mu się jednak nie należało? Za fatygę? Za pomysł?”... „Ale dlaczego to ukrył przed kolegami?! Przecież to już dowód, że sam to uważał za nieetyczne!”... „No — odpowiadali inni — krępował się postawić to z nami handlowo; wstydził się, oczywiście, niepotrzebnie!” — Tak utarła się Miernikowi ta pierwsza próba.

Potem przyszły inne pokusy, wyrastając, jak piętra w budowanym domu, z jego rozwijającej się pracy inspektora. Gdy koledzy nie chcieli kupować w innej fabryce na raty, np. porcelanowych serwisów do herbaty czy kawy (nie chcieli, bo nie każdy zarabiał na samą kawę lub lepszą herbatę, a pić mógł w szklance i zwykłym kubku), Miernik wzruszał ramionami, słodził namową; potem — krótko rozmyślał i zawierał z fabryką umowę, oczywiście już ustną, dla siebie samego, uzyskując raty jeszcze bardziej dogodne i ustępliwe. Spłacał te raty, ale gdy przychodziły inne dziecinne lub osobiste potrzeby (cóż dopiero mówić o chorobie w domu!), prosił o ulgę w terminie, przewlekał; zasadniczo był zawsze za wypłaceniem się do końca, chyba, że wkraczały istotnie „siły wyższe”: likwidacja fabryki czy danego działu, przeniesienie firmy do innego obwodu lub... inspektora w inne miejsce itp. Potem zdarzyły się pojedyncze wypadki przyjęcia tego lub innego upominku od firmy. To wcale nie były łapówki! Tak więc np. jedna fabryka wyrobów marmurowych — w uznaniu dla taktu i sumiennosci Miernika, który załatwił przewlekły konflikt ku zadowoleniu obu stron, właściciela fabryki i robotników — nadesłała mu przepiękny garnitur na biurko, dużej stosunkowo wartości i parę waz do mieszkania. Inna znów fabryka — w analogicznej czy innej okoliczności — wyprodukowała „specjalnie dla pana inspektora” ogrodowe mebelki, na które zwrócił przelotnie uwagę przy wizytacji. Gdy urzędnik firmy przywiózł mebelki, Miernik, rozpyłując się w słodczy, chwycił za pugilares i wykonał szereg gestów oznaczających: „zapłać”... Ale urzędnik — dobrze ułożony pan z kulturalnej rodziny ziemiańskiej, zdeklasowanej przez przewrót bolszewicki na kresach — był upoważniony oświadczyć panu inspektorowi imieniem właścicieli fabryki, że właściciel poczytywałby sobie to płacenie za osobistą, ciężką, naprawdę niezasłużoną, zniewagę... Miernik zaprzeczył: na stanowisku inspektora każda najdrobniejsza rzecz narazić może jego i urząd na krzywdzące posądzenie, zwłaszcza jeżeli zdarzy się niedługo jakaś akcja robotnicza, której nie będzie mógł rozstrzygnąć na rzecz robotników (w swoim sumieniu). Dobrze wychowany urzędnik firmy rozwinął wtedy tak przekonującą argumentację! Że nie wolno kopać przepaści pomiędzy urzędnikiem, oczywiście podporą, prawą ręką rządu a uczciwym, lojalnym obywatelem-przemysłowcem, który przecie w miarę swych sił ma najlepszą wolę doskonalenia bytu szerokich mas, tworzenia dobrobytu państwa itp. itp. Ze takie odrzucanie bezinteresownego odruchu prostej życzliwości (bo jakież to koszt dla firmy!), takiej nowej formy koleżeństwa pomiędzy urzędnikiem niepodległego państwa polskiego a obywatelem z powoduje znów wzajemne piętrzenie się nieufności, niezyczliwości, a przecie — wspólne są nasze cele i dążenia w tej naszej ojczyźnie itd., itd. W końcu żona Miernika, która od kwadransa pod drzwiami przysłuchiwała się tej rozmowie, weszła do pokoju, dar przyjęła, a urzędnika zaprosiła na obiad.

Zdarzył się raz wypadek, że właśnie taki garnitur na biurko czy inna rzecz, stały się przedmiotem długich rozmów w ministerstwie. Zredukowana maszynistka inspekcyjna wygadała się, że sama przyjmuje drobne podarunki od inspekcyjnych klientów, gdy zaś uczyniono jej zarzut, wysypała informację, że to samo — w większych rozmiarach — robią inspektorzy w niejednym obwodzie. Wtedy grupa urzędników ministerstwa zwróciła się do kierownictwa inspekcji, że winno to być przedmiotem dochodzenia. Tu jednak spotkali się z tak zawilimymi wywodami filozoficznymi na temat, co wolno, a czego nie wolno inspektorowi pracy, od czego się zaczyna łapówka, a na czym kończy się drob-

Przekupstwo

ny upominek (wyraz solidaryzmu społecznego i zreformowanego stosunku do urzędnika własnego państwa), że cała akcja spaliła na panewce.

Miernik wprawdzie przyjeżdżał, to i owo wyjaśniał, o tym i owym opowiadał, to i owo naświetlał, ale się służbowo nie zachwiał. Umiał odpowiednio argumentować, sięjąc kojącą słodycz. Z kim że to ma przestawać, znać się, przebywać i przyjaźnić inspektor pracy? Czy władze mogą skazywać go na odosobnienie i samotność, czy też polecają mu zniżać się do poziomu towarzyskiego i intelektualnego robotników, sekretarzy zawodowych, obcowanie z którymi nie naraża inspektora na zarzut sprzedajności, czy też choćby interesowności? Przecie inspektorzy pracy, w dużej mierze ludzie z wyższym wykształceniem, wywodzą się przeważnie ze środowiska inteligencji, zamożniejszego mieszczaństwa lub też z rodzin ziemiańskich i szlacheckich. Czy władze mogą żądać, żeby inspektorzy pracy zerwali stosunki z rodziną, krewnymi, kuzynami, kolegami studiów?! I jak to wpłynie na kulturę osobistą inspektora pracy? A znów, jeżeli obcuje ze środowiskiem, z którego wyszedł, to czy nie jest naturalnym wzajemne świadczenie usług, drobnych uprzejmości, całkiem bezinteresownych, w drodze życzliwości wzajemnej?!

Wszystko to było bardzo przekonujące i doskonale dobrane do umysłowości zwierzchnictwa, które zresztą dorzucało nawet współbrzmiające argumenty. Przecie dzieciństwem jest przypuszczać, że inspektor pracy, inżynier czy prawnik, człowiek wykształcony, pochodzący z kulturalnego środowiska, dałby się kupić obiadem u fabrykanta, głupim groszowym upominkiem i z tego tytułu mógł się zaniedbywać w swych obowiązkach, w surowym, ale taktownym wykonywaniu prawa? Ludzie, którzy tak myślą, po prostu krzywdzą tym inspektorów pracy.

No i tak właśnie wychodził inżynier Miernik z wszelkich wątpliwości i dochodzeń służbowych.

Z dyrektorem fabryki „Szpilka” stosunki od razu ułożyły się bardzo poprawnie, metodą świadczenia sobie wzajemnych usług i grzeczności. Dyrektor Baczyński potrzebował dla fabryki pewnych dróg w obozie i w rządzie. Miernik otarł się swego czasu o Legiony, nie o tyle, żeby tam krwawić albo nawet powąchać prochu w polu, ale jednak o tyle, żeby mieć tam i ówdzie — kolegów lub znajomych w legionowych kołach. Służył więc chętnie Baczyńskiemu tymi stosunkami, rozmaitymi ścieżkami do różnych urzędów. W zamian Baczyński, człowiek bogaty, rozporządzał wielką możliwością okazywania usług innej natury. Miał np. własną willę w jednym z uzdrowisk, do której rodzina jego nigdy nie wyjeżdżała, gdyż inna ich willa w innym uzdrowisku miała bardziej komfortowe urządzenie. Miernik z rodziną zadowalał się skromniejszą willą i miał w ten sposób za bezcen letnisko dla dzieci. Oczywiście — w razie jakiegoś miarodajnego zainteresowania się tymi świadczeniami, miał zupełnie przygotowane alibi dla udowodnienia, że rodziny Mierników i Baczyńskich od wielu lat łączyły zażyłe stosunki.

Inżynier Miernik posiadał przedziwny talent nawiązywania i utrzymywania w każdym miejscu swego urzędowego przydziału bogatych, mnogich stosunków różnego kalibru. Pochodziło to stąd, że umiał i lubił każdemu usłużyć. Tam obiecał poprzeć, przy okazji bytności w stolicy, czyjąś prośbę o tytoniową lub wódczaną koncesję, tu znów podejmował się załatwić jakieś dogodniejsze rozłożenie podatków na raty lub też poparcia jakiegoś rządowego obstalunku dla tej czy innej firmy, nawet — wydanie czyjegoś rękopisu w sprawach przemysłowych lub handlowych na koszt instytucji rządowej lub naukowej. Jak stąd widać, zasięg interwencji i usług Miernika był bardzo rozległy. Stawało się to oczywiście przyczyną jego niepospolitego załatania i zajęcia, nic przecie nie mających wspólnego z wykonywaniem ochrony pracy. Codziennie notowane na kalendarzu w biurze interesy telefoniczne, listowne, ustne wypełniały wiele godzin, a godziny „wypadania” na miasto w sprawach, wymagających osobistego ukazania się, fatalnie wkraczały zazwyczaj w godziny ruchu fabryk, wyznaczone uprzednio godziny konferencji rozjemczych w biurze, lub też konferencji z innymi urzędami w sprawach fabrycznych. Nie można też było stwierdzić, że Miernik złośliwie i świadomie działał ku pogorszeniu warunków pracy w obwodzie i w fabryce „Szpilka”, ale nawał pozainspekcyjnych zainteresowań, problemów, siucht, pośrednictw, przeważnie powiązanych mniej lub więcej subtelną i pośrednią nicią z przeorywaniem sobie wygodniejszych materialnych warunków bytu, utrudniał mu niesłychanie cokolwiek bardziej dokładne, sumienne i owocne sprawowanie ochrony pracy. Jeżeli nawet Miernik bywał w biurze w godzinach urzędowych, to najczęściej

bywał nieprzytomny z powodu rozstawionych na kalendarzu, jak szpilki na rozkrzyżowanym motyłu, terminów, przypomnień, notatek, tyjących się tego lub innego interesu, polecenia, przygotowywanego wyjazdu. Gdyby się kto mógł rozpoznać w wielkich skrótach tych notatek, przekonałby się, że wśród nich sprawy inspekcyjne tkwiły jak rzadkie rodzynki w oszczędnie przyprawionym nimi cieście. Nikt jednak tego rodzaju wnikania w czynności inspektora pracy, jednostki służbowej o wysokiej autonomii, nie wykonywał.

Była też inna jeszcze przyczyna, dla której wyniki urzędowania Miernika w obwodzie i w fabryce „Szpilka” musiały być z natury rzeczy anemiczne, nijakie. Przyczyna ta wiązała się bezpośrednio z istotą owego załatwienia Miernika. Okoliczność załatwienia bowiem wynikała z wciągnięcia się w koło usług dla „sfer gospodarczych”, stosunki zaś z tymi sferami czyniły wręcz nietaktownym wszelkie usiłowania realnej ochrony pracy. „Sfery” te bowiem tolerowały inspektorów i inspekcję pracy tylko o tyle, o ile cała ochrona pracy nie wychodziła poza obręb kompromisowego, anemicznego, teoretycznego raczej nadzoru. Każde wyjście poza ten obręb powodowało natychmiast kwasy, pretensje, w atmosferze której zwiędłyby i zmarzły delikatne roślinki hodowanych przez Miernika nowoczesnych, życzliwych stosunków pomiędzy urzędnikiem w ojczyźnie a lojalnym obywatelem. Od czasu do czasu Miernik musiał oczywiście — w obwodzie w ogóle, a nawet i w fabryce „Szpilka” — uczynić jakiś gest istic inspektorski. A więc np. wziąć książeczki robotnicze dla skontrolowania prawidłowości obliczeń.

Bywały to ciężkie dla Miernika chwile!

Gdy pewnego dnia zaszedł właśnie w takim celu do fabryki i zażądał książeczek obliczeniowych do kontroli, nie przewidywał wcale, jaką burzę rozpęta. Usiadł w małym gabinecie, usłużnie ofiarowanym mu do „urzędowania” i poprosił o wezwanie delegata Galkowskiego, którego zdążył już poznać jako rozsądnego, umiarkowanego w swych żądaniach, skłonnego do zgody przedstawiciela załogi. Ale nieszczęśliwy wypadek chciał, że była to właśnie przerwa obiadowa. Galkowski nie zdążył jeszcze wsunąć się do gabinetu, gdy tuż za nim, deptąc mu po piętach, wcisnęło się bez pytania kilkunastu robotników i robotnic. Miernik, zawsze uprzejmy, zirytował się jednak na to wtargnięcie:

— Co jest? Nie prosiłem panów, tylko delegata! Awantura czy co? Po cóż panowie mają delegatów, jeśli trzeba z całym burmem³⁷ gadać?!”

Tu spojrzął na zegarek, przerażony, że za wiele mu to zabierze czasu. Przeklinał już w duchu tę całą zamierzoną kontrolę książeczek, które przecie mogły jeszcze czekać: robotnik jest cierpliwy, póki się go nie poruszy. Robotnicy zagadali od razu i ponuro:

— A bo tak, panie inspektorze, że przecie czas by był tymi książeczkami się zająć!

A inny:

— Sami już widzimy, że nas tu oszukują przy potrąceniach.

A jeszcze inny:

— A do czego inspekcja, jak nawet takich, co przez prawo ściśle przewidziana nasza obrona, nie załatwia?

Jeden zaś, na uboczu stojący, młody chłopak, o suchotniczym wyglądem, powiedział ironicznie, świdrując inspektora oczami:

— Do Pana Inspektora to prędko trudniej się będzie dostać, jak do cesarza...

Miernik skurczył się pod tą ofensywą i złościł się dalej, przygadując:

— No proszę konkretnie, panowie, tu nie wiec!... Gdzie i kogo nieprawidłowo obliczyli? Bo nie będę tu przecie całego dnia z wami marnował!

Wtedy wysunął się jeden za drugim, brudnymi rękami pogmyrał w książeczkach, swoją odszukał i inspektorowi czarno na białym wykazał, jak został oszukany w tej wypłacie na 40 groszy, w poprzedniej — na 60 itp., przez nieprawidłowe obliczenie stawki lub potrąceń na ubezpieczenia.

Miernik nie wierzył; na szpargałku papieru dodawał, mnożył, obliczał i... w końcu musiał przyznać, że wszyscy skarżący mieli rację: zostali ordynarnie oszukani, bywali ustawicznie oszukiwani przy wypłatach. O, to już było gorzej! Młody suchotnik z niewinną minką zauważył:

— No, to teraz nauczycy go Pan, Panie Inspektorze, bo przecie za to można karać; myśmy się już przepytawali...

³⁷burmem — gromadnie, tłumnie, od: hurm (starop.) gromada, tłum. [przypis edytorski]

Inni zaś przyglądali się Miernikowi — jak mu się wydało — kpiarsko. Miernik narodził się i odparł:

— Nie będzie mi pan wskazywał, wie pan, co mam tu robić! — Ale czuł, że minę miał rzadką (grzeczności, to letnisko, a pał to diabli, tę głupią kontrolę, a toż to wjechał) i że robotnicy naprawdę pokpiwają: po cichu, delikatnie, między sobą, ale pokpiwają z tego wpadunku. Czyżby więc mieli naprawdę jakie wątpliwości, obserwacje, zastrzeżenia co do jego osoby?

Czym prędzej zlikwidował posłuchanie.

— No więc, moi panowie, to już widzę! Jest wasza racja, obrachunki nieprawidłowe! Ja w to wejrzę. Idźcie panowie z Bogiem, tylko pan Gałkowski niech tu zostanie, załatwimy to z nim...

Robotnicy, kłaniając się, wychodzili, prosząc:

— To niech już Pan Inspektor, nie odkładając, wyreguluje te nasze krzywdy...

Gałkowski wstał i kiwając się w ich stronę z uśmiechem, zamknął za nimi szczelnie drzwi. Gdy usiadł, Miernik zapalał właśnie papierosa i poczęstował go.

— No, widzi pan, panie Gałkowski, teraz cała chryja! Obrachunki nierzetelne i to taka głupia rzecz, doprawdy: na grosze oszukują! Ale ci ludzie tu u pana bardzo niecierpliwi: tak mi się jakoś stawali i coś tego, wie pan — pociągnął nosem — coś mi to nie pachnie! A raczej, pachnie mi to, ale brzydko. Oni to sobie porządnie obmyślili i przygotowali; a czy pan o tym wiedział? Nie?! Więc to panu powiem, że to mi pachnie: opozycją!!

Gałkowski wyduł pogardliwie wargi.

— No, znowuż, Panie Inspektorze, nie trzeba przesadzać! To jest ich prawo, nie żadna opozycja! Czego się Pan Inspektor tak irytuje?

Miernik przeglądał machinalnie książki i nagle odrzucił je na bok, aż się rozsypały poza stół.

— Irytuje!! Dobry mi sobie!! Wszystkie książki poszachrowane!! Czy pan ma pojęcie, co by go to powinno kosztować, taka rzecz, żebym go karał?! Ile nieprzyjemności? Właśnie musi pan wiedzieć, że jest mi dyrektor w tym czasie potrzebny, do takiej, wie pan, państwowej, politycznej, no prorządowej, słowem, jednej akcji; wcale mi nie na rękę, no wprost niemożliwe jest dziś kawały mu robić. A ci znów tak mi wyglądają, jakby się chcieli zniescierpliwzić! No i masz cały kram! Wie pan przy tym, że nie mam życzliwego człowieka w okręgowym inspektorze, mam go wprawdzie gdzieś, ale cholera jeździ do Warszawy, zawsze coś nakręci! No, powiadam panu, strasznie mi to nie na rękę!

Gałkowski pozbiierał rozrzucone książeczki, zaciągnął się papierosem i wycedził przez zęby:

— Można to załatwić spokojnie. Niech Pan Inspektor da temu pokój, jak są ważniejsze — mrugnął — „państwowe sprawy”...

Miernik czuł się tego dnia źle i — zasadniczo lekkomyślny i ufny — węszył i tu jakiś fortel.

— Nie, co znów!! Pan sobie wszystko lekceważy! Że też pana oni znoszą i obierają! Ja nie mogę sobie pozwolić na takie: „dać pokój”. Muszę tę sprawę podjąć. Trudno. Nawet książeczki zatrzymam. O... — Odłożył sobie cztery książeczki do teki.

— Do dyrektora dziś nie wstąpię, bo już nie mam wcale czasu, a i tak się z nim rozmówię dziś, jutro. Chodzi mi tylko o to, panie Gałkowski, żeby pan działał na uspokojenie. Powie pan, że przy panu zabrałem książeczki i nawet nie chciałem gadać z Baczyńskim, tylko od razu wytoczę mu, no, wie pan! Inspektor, powie pan, jak rumaka dosiadł po waszym wyjściu, od razu wziął się do rzeczy. I w istocie, wie pan, sprawę tę muszę przeprowadzić, tylko rozumie pan, w paradę, w paradę mi wleźli, ot co! Działaj pan, działaj pan na uspokojenie, bo to już, mówię panu, opozycją pachnie! A jak towarzysze przyjdą, no to i pańska kariera się skończy!

Szybko zebrał papiery w tekę i zęgnął się już z Gałkowskim, domawiając te słowa. Gałkowski odprowadził go przez korytarz, spokojnie mówiąc:

— Ja działam, Panie Inspektorze, ja zawsze działam na uspokojenie.

Tak więc to mniej więcej wyglądało, gdy Miernik zdobywał się na „inspektorski gest”. Gest z książeczkami i z tą całą „chryją”, jak to nazwał, zdarzył się w pierwszym roku nadzoru Miernika nad fabryką „Szpilka”, coś tak pod koniec trzeciego kwartału w tym pierwszym roku. „Państwowe” zaś lub „rządowe”, a w istocie rzeczy prywatne powiązania

Miernika ze „sferami gospodarczymi” w ogóle, a z Baczyńskim w szczególności, wpływały skutecznie na wyniki takich jego inspektorskich gestów: sprawa oszukiwania robotników przy rozrachunkach, przy skutecznej pomocy Galkowskiego, ciągnęła się i nie została załatwiona aż do końca urzędowania Miernika w tym obwodzie, to znaczy — jeszcze przez cały rok i kwartał. Była to skądinąd sprawa tak jasna i przejrzysta w istocie przekroczenia i w sposobie ścigania prawnego takich przekroczeń, że byle jaki inspektor umiał w kilka dni załatwić tego rodzaju sprawę, najwyżej zaś mogło to trwać parę tygodni.

Stosunki Miernika z jego bezpośrednią władzą, okręgowym inspektorem pracy (władza inspekcji pracy drugiej instancji, analogicznie do wojewody w służbie ogólnej administracji) były rzeczywiście fatalne. Okręgowy inspektor, Feliks Kostrzewa, należał ongi — przez nieszczęśliwy zbieg wypadków — do owej grupy kolegów, na zakupach których Miernik tak bezceremonialnie zarabiał w początku państwowości polskiej. Na zasadzie tego odkrycia, Kostrzewa nie żywił zbytniego zaufania do etyki Miernika. Poza tym uzbierał sobie informacje o jego metodach urzędowania od kolegów, którym podlegał Miernik w innych okręgach (województwach). Mianowanie Miernika do swego okręgu Kostrzewa traktował jako dopust boży, jako szykanę ze strony władz i niemal od pierwszego miesiąca urzędowania Miernika pod jego komendą wnosił, prosił i zabiegał o jego odwołanie i przeniesienie. W końcu, po paru latach, zabiegi te zakończyły się — zwycięsko dla Kostrzewy — przeniesieniem Miernika do innego województwa. Przeniesienie to — a więc i zamącenie pięknej, nieruchomej tafli w jeziorze ochrony pracy w fabryce „Szpilka” — nastąpiło zaledwie na miesiąc czy półtora przed tragicznym rozwiązaniem konfliktu, który wprowadził imię fabryki „Szpilka” do historii współczesnych stosunków społecznych w Polsce.

Kostrzewa miał umysłowość innej miary niż Miernik i był najzupełniej w stanie nie tylko pojmować, jak należy wykonywać ochronę pracy, ale nawet potrafiłby wprowadzić właściwe metody sprawowania tej ochrony. Potrafiłby — gdyby nie kolce, piołuny i ciernie, po których kroczyły stosunki okręgów z trzecią instancją — ministerstwem pracy. Potrafiłby może nawet i w tych ciężkich warunkach, gdyby nie oportunistyczny narastający wraz z wiekiem, brzuszkiem, łysiną, rozwojem trosk o „przyszłość” dzieci, o zabezpieczenie własnej starości; oportunistyczny, który sprawiał, że Kostrzewa umiał już usprawiedliwiać własną bierność przed własnym sumieniem za pomocą argumentu „lojalności urzędniczej”. Argument ten wyglądał następująco: moja władza (główny inspektor pracy, minister, rada ministrów, lub też — w równoległych resortach — starosta, wojewoda, znów minister itd.) nie idzie w tym a tym kierunku, nie każe załatwiać tak a tak, nie zapobiega; wreszcie — nie widzi, nie chce widzieć, nie chce załatwiać, nie chce zapobiec itp. Ja jako urzędnik, przyjmuję rozkaz wyższej władzy (nie iść w tym kierunku, nie widzieć, nie załatwiać, nie zapobiegać, lub odwrotnie) tak jak to brzmi, przyjmuję do wiadomości opinię równoległych resortów (wojewody np.); rozkaz władzy przełożonej wykonuję; opinię równoległego resortu — choćbym uważał ją za mylną, niebezpieczną itp. — pozostawiam decyzji jego przełożonych władz. To był właśnie ten oportunistyczny „lojalności”.

Warunki pracy i poniewierka robotników nie tylko nie były Kostrzewie obojętne, ale odczuwał je, a w każdym razie rozumiał bardzo głęboko. Od dawna jednak przestał wierzyć w możliwość wprowadzenia rzetelnej ochrony pracy w fabrykach. Widział dobrze wszystkie sprężyny i potęgi, uniemożliwiające tę pracę. Nie rozwijał już w sobie energii i oporu młodości (bo młodość przeszła), żeby walczyć o tę ochronę pracy. Nie stał się bynajmniej zwykłym zjadaczem chleba. Czynny na wielu odcinkach społecznych, uruchamiał budowę kolonii mieszkalnych robotniczych, organizował letnie wyjazdy dzieci bezrobotnych, miał tysiąc rozumnych pomysłów i umiał je wykonywać. Najmniej płodnym, najmniej twórczym był ten, na ogół płodny i twórczy, człowiek na terenie swej właściwej służby — inspekcji pracy. Trzeba było zresztą znać męczeństwo takiego urzędnika, który chciał naprawdę efektywnie działać i pomagać społeczeństwu (w danym wypadku robotnikom) na swym odcinku służby — udrękę stosunków z własnym ministerstwem, z każdym innym, z innymi urzędami, z przemysłowcami, ze stronnictwami politycznymi itd. — żeby zrozumieć, że urzędnicy niewątpliwie ideowi i pełni najlepszej woli, jak Kostrzewa, mogli się po kilku, kilkunastu latach wykrzywiać w taką obręcz oportunistycznego, która się w końcu zamykała na poniewierce robotnika.

Urzędnik

U Miernika Kostrzewa od razu natrafił na bierny opór, na najgorszą formę sabotażu. Miernik pozostawał nieczuły wobec poleceń, krytyki, wreszcie żądań zwierzchnika. Przytaczał tysiąc obiekcji, przeszkód, usprawiedliwień na dowód swej niewinności w stosunku do tego lub innego zaniedbania. Kłamał i wywijał się kontroli jak piskorz. Kostrzewa zaś, lubiąc żyć dobrze i koleżeńsko z ludźmi, ulegając zresztą prądom oportunistycznym, był szczęśliwy, gdy mógł się z Miernikiem wyminąć. Przekonał się zresztą prawie od razu, że usiłowania jego nie zmieniają nic w tym zakorzenionym systemie wykonywania obowiązków, jaki uprawiał Miernik. Kostrzewa, był bystrej inteligencji, prędko więc doszedł tajemnicy rozgałęzionej sieci stosunków i stosunczków, jaką rozsnuł po mieście Miernik. Zebrał też dość rzeczowych informacji o Baczyńskim, aby zrozumieć, że nie byłby to łatwy orzech do zgryzienia nawet dla inspektora pracy, obcego kompromisom i oportunistom. Stosunki osobiste Baczyńskiego sięgały daleko. Grał w brydża. Polował i miał majątek, w którym mogły odbywać się polowania. To były straszliwe atuty! Toteż po krótkim okresie otwartych ataków na Miernika w płaszczyźnie służbowej kontroli i rozkazów (sabotowanych), Kostrzewa przerzucił całą zbywającą energię (zbywającą od zbyt wielu zajęć i prac, zresztą przeważnie społecznej natury) na uwolnienie się i uwolnienie swego terenu od Miernika.

Bieżące sprawy musiały być jednak załatwiane. Kostrzewa korzystał z szerokiego zaufania związków zawodowych robotniczych (niezależnie od barw) i stąd dowiedział się jakoś o historii książeczek obrachunkowych w fabryce „Szpilka”. Zresztą wiedział i o innych sprawach, o głośnych w tej fabryce, a swoiście obstawianych, haremach majstrów. Wzywał tedy nieraz Miernika.

— Panie Inspektorze, te książeczki tam u Baczyńskiego muszą być załatwione. Nie pojmuję powodów, dla których pan to przewleka; nie chcę wchodzić w te powody, ani wierzyć rzeczom, które ludzie opowiadają. Wskazuję jednak panu, że to przewleknięcie wygląda dla pana niekorzystnie, co ostatecznie mnie boli mniej, ale i dla inspekcji, co mnie musi boleć. Proszę to załatwić!!

Miernik wstawał, kłaniał się, patrzyli na siebie nienawidzącymi się oczami. Miernik mówił mu: „Nie ugryziesz!”, a Kostrzewa odpowiadał: „Płaz” — ale wszystko tylko wzrokiem. Słowami Miernik mówił:

— Ależ załatwię, panie inspektorze, nie mam nic przeciw temu. W przyszłym tygodniu będę miał na to czas.

Gdy przychodził przysły tydzień, nie było na miejscu albo Miernika, albo Kostrzewy; przychodził strajk, inne pilne sprawy, zapominało się. Działal wreszcie i oportunizm: unikać, odsunąć...

Po paru tygodniach analogiczna, ostrzejsza w wyrazie twarzy i tonie, rozmowa. Ten sam skutek. Znów rozmowa. Ten sam skutek. Tu Kostrzewa już zapowiadał, że sprawę tę poruszy wyżej. Ale nie poruszał, bo w istocie sprawa ta leżała najzupełniej w zakresie jego uprawnień i mógł i musiał umieć załatwić ją własną władzą. Mógłby, gdyby istotnie miał możliwość we własnym zakresie wyciągnąć wszystkie konsekwencje z sabotażowania go przez Miernika. Próbował. Ale wtedy Miernik swoimi drogami pozyskiwał poparcie „miarodajnych czynników” i Kostrzewa otrzymywał telefon:

— Panie inspektorze... dowiaduję się... bardzo mi przykro... panowie, w odpowiedzialnych czasach, zamiast zgodnym wysiłkiem — pauza. — Niechże pan się stara... przecie w pana możliwości... przez ciągłą kontrolę... koleżeński stosunek... uzyskiwać stałą... choćby powolną... poprawę.

Kostrzewa kładł rękę na aparacie i uzyskiwał... rozłączenie rozmowy. Robotnicy zaś — mogli czekać...

Ale robotnicy nie czekali już tak długo. Kostrzewa uzyskał wreszcie od swych władz przeniesienie inspektora Miernika do innego okręgu i przydzielając fabryce „Szpilka” nowego inspektora, zabrał się wreszcie do porządkowania tam stosunków, a przynajmniej — do rozpoznania się w rozmiarach przekroczeń, krzywd i nieprawości, tak bujnie rozkrzewionych w tej fabryce. Spotkał się już jednak sam w załodze z kompletną niewiarą w jakąkolwiek pomoc inspekcji pracy i z narastającą żywo postawą walki o własnych siłach: walki o prawo, zagwarantowane przecie autorytetem państwa!

To robotnicy przestawali czekać...

V. POLSKI STRAJK

Podobnie do wody zaskórnej, która występuje niewiadomego dnia na powierzchni, wszystkie nurtujące w zalodze fabryki „Szpilka” prądy i nurty fermentu wystąpiły na powierzchni życia fabrycznego w lutym roku 1936. Ujawniły się nagle w oszałamiająco jaskrawej postaci przewędrowania całej załogi fabrycznej ze związku prorządowego do opozycyjnego, do socjalistów. Zdarzenie to poprzedził fakt dużo mniejszej wagi: przeniesienie inspektora Miernika do innego województwa i zjawienie się w fabryce nowego obwodowego inspektora wraz z okręgowym inspektorem Kostrzewą. Zorganizowaniu się załogi w innym związku towarzyszyły wybory nowego delegata: był to więc koniec delegata Galkowskiego! Galkowski był nawet rad z takiego wyjścia, bo grubo gorzej byłoby wypadać z delegatury w wyniku związkowego śledztwa i ustalenia, być może, pewnych wiadomych rzeczy. Zresztą i śledztwo zakończyło się bardzo nieprzyjemnie dla Galkowskiego. Wprawdzie ani Nowicki ani Malczyk nie mogli oczywiście przedstawić żadnego dowodu na piśmie, ale Malczyk wiedział od żony Jackowskiego (która w końcu dojrzała do widzenia się z mężem w więzieniu), że Jackowski siedzi jedynie za doniesieniem Galkowskiego, a ta sama była przyczyną aresztu Nowickiego. Jackowski zdążył szepnąć to żonie do ucha; po wyjściu zaś dopiero opowie, skąd — szczęśliwym wypadkiem — o tym się dowiedział. Wszystko się sprawdzało, bo i władze związku: Mitek i sekretarz Korzeniowski, szturmując do policji o zwolnienie członka związku Jackowskiego, natrafiały w tej sprawie na dziwną tajemniczość i staranne ukrywanie informatora. Nic nie pomogło, że i Mitek i Korzeniowski ręczyli za Jackowskim iż nigdy nie był komunistą; nie puszczano go i starano się zmylić ich budzącą się czujność. Toteż natychmiast po zakończeniu protokołów komisji, sekretarz Korzeniowski oświadczył Galkowskiemu, że ma się wypisać ze związku i przerwać od razu wszystkie organizacyjne kontakty; odebrał mu legitymację i wygotował pismo do centrali ugrupowania, że Galkowski przestaje być członkiem związku „dla względów natury etycznej”, jak to określił w piśmie. Galkowski udawał niewinnie pokrzywdzonego i nawet z lekka stawiał się, zwracając legitymację. Ale ustawicznie spozierał na drzwi w ciągu tej rozmowy, bo bał się zapalczowości Mitka. Nie uniknął jej zresztą, bo tamten znów starannie pilnował jego ostatniej wizyty w związku. Wszedł też przy końcu rozmowy, podszedł wprost do Galkowskiego i powiedział krótko:

— Wstań, Judaszu. Broń się! To masz za zdradę!

I wyrznął go tak w twarz pięścią, że Galkowski zwałił się na wznak, zalewając się krwią. Korzeniowski zachnął się, chwycił Mitka za ręce i krzywiąc się, zawołał:

— Dowodów, Jaś, nie masz! Jak możesz zabijać!

Mitek obtarł rękę chustką, obejrzał się na zemdlonego na podłodze i powiedział spokojnie:

— Nie zabijałem ścierwa. Bardzo nawet słabo pouczyłem go. Też masz się czym przejmować!

I wyszedł z pokoju. Wtedy Korzeniowski ze wstrętem zbliżył się do Galkowskiego i z karafki wylał mu ciurkiem na twarz dużo ciepłej wody. Galkowski usiadł natychmiast, więc chyba przytomności nie tracił: był to tylko zręczny manewr ochronny przed wściekłością Mitka. Wtedy Korzeniowski dał mu ręcznik z szafy, kazał mu piorunem się umyć i wiać:

— Żebyś tu cię więcej nie oglądał; i w twoim to własnym interesie jest związać się!!

Istotnie, Galkowski nabrał tak błyskawicznej szybkości, że nie upłynęły dwie minuty, jak nie było go już w lokalu; wybiegł, zakrywając twarz chustką od nosa. Był to jego ostatni popis w związku. W fabryce już od kilku dni nie bywał; od chwili, gdy spadł z delegactwa, bał się już tam przychodzić. Jak bronić się było dłużej przed głośnym omawianiem wyników śledztwa? Meldował się też w urzędzie, prosząc o ochronę: kazano mu troszczyć się samemu o siebie, zmienić mieszkanie, wyjechać, skoro się bał, z miasta. Nie mógł już być na tym terenie potrzebny, gdyż został tak czy inaczej rozkonspirowany; mógł tylko już szkodzić.

Delegatem fabryki został Władek Malczyk. W nowym związku, gdy zreferował w szczegółach położenie robotników w fabryce, działania dyrekcji, majstrów, bezczynność i krę-

tactwo inspektora pracy, postanowiono, że musi natychmiast rozpocząć energiczną akcję ofensywy, gdyż fabryka należy do mocno zabagnionych. Pracował tedy przez szereg wieczorów w związku nad sformułowaniem żądań, jakie miał przedstawić dyrekcji. Odrzucono zupełnie ewentualność zwrócenia się o pośrednictwo do inspekcji pracy. Zbyt długo robotnicy obserwowali działalność inspektora Miernika i utracili wszelkie zaufanie do całego urzędu, jakkolwiek nowy inspektor na zlecenie okręgowego inspektora wdrożył już naprawdę dochodzenie karne w sprawie nieprawidłowego obliczania robotników przy zapłatach. Nie mogli już wierzyć żadnemu. Postanowiono więc bez pośrednictwa inspekcji rozpocząć akcję.

Genka wstępowała codziennie po męża do nowego związku. Siedziała cichutko pod ścianą w sąsiednim pokoju i wyczekiwała cierpliwie, aż skończył swoją pracę. Gdy zaś wychodził — taki inny niż dawniej, nieponury, z płonącymi oczami, z energicznym ruchem rąk, zbliżała się do niego, radosna i dumna i wychodzili razem. Na schodach brał ją pod brodę i zaglądał w oczy.

— Dobrze jest, będziemy się teraz bronili! — mówił. — Taki idzie czas, że się każdy związek podciągnie; tamten dawny nasz, po wywaleniu Gałkowskiego, pójdzie teraz też rzetelnie razem z nami, jak wytną sobie te wrzody.

Szli do domu, do maluteńkiego, wspólnego mieszkanka. Byli bardzo szczęśliwi. Przejście z majstrem samej Gence wydawało się teraz niebyłym³⁸.

W dyrekcji Malczyk jako delegat, pierwszą rozmowę miał tylko z Pańkowiczem. Chciał od razu mówić z samym Baczyńskim, ale ten rzadko „na takie głupstwa” miał czas. Natomiast o rozmowie Pańkowicza z delegatem Baczyński dowiedział się tegoż dnia, gdyż istotnie wszystkie najczarniejsze przewidywania Pańkowicza co do zmiany nastrojów w załodze okazały się słuszne. Malczyk zgłosił imieniem załogi żądania: 1) podwyżki płac, 2) rzetelnego obliczania przy wypłatach, 3) usunięcia majstra Zielnika i portiera Zielaka, 4) zwolnienia z fabryki byłego delegata Gałkowskiego, który wprawdzie już „zachorował”, ale był jeszcze robotnikiem fabryki. Wszystko to krótko, bez komentarzy, wyrecytował Pańkowicz Baczyńskiemu przez telefon, a od siebie dodał tylko:

— Pan Prezes wybaczy, bo ma mnie Pan Prezes za pesymistę, ale zdaje mi się, że oni nie ustąpią! Pójdą na całego!

Baczyński odciął się tylko przez telefon:

— Zobaczmy panie, zobaczymy! Niech mi pan tylko w kantorze nie rozsiewa tej swojej... — zawahał się — aha, kiereńszczyzny³⁹! Właśnie kiereńszczyzny!! Nie mamy jeszcze rady delegatów, żeby tak od razu pasować⁴⁰ przed motłochem! Mam jeszcze urzędy, mam jeszcze swoje stosunki! Zobaczmy, kto mocniejszy!

Pańkowicz położył uszy po sobie i milczał. Przecie „kiereńszczyzna” mogła go kosztować wymówienie posady. Tym naprawdę nie mógł ryzykować!

Ale za pięć minut poderwał go od biurka wściekły głos szefa.

— Panie! — krzyczał — co to u cholery, zmowa, czy co? Dzwonię do Miernika, nie spotykałem go od paru tygodni, wyjeżdżał, a teraz nie ma go, ale to wcale nie ma już w mieście!!! Mieszkanie nie odpowiada, godzina czwarta, co się dzieje! Szukaj go pan!

Pańkowicz uczył skryte, wewnętrznym zadowolenie:

— Myślałem, że Pan Prezes wie; przecie pan Miernik tu wstępował się żegnać, Pan Prezes miał się z nim widzieć. Pan Miernik przecie już tu nie urzęduje, został na przedstawienie pana Kostrzewy odwołany i przeniesiony do innego okręgu.

W telefonie słychać było tylko sapanie. Po chwili Baczyński poczał znów krzyżeć:

— To pan to ma sobie za nic? Takie to faramuszki dla pana, że go tracimy z terenu?! Nie orientuje się pan chyba, że to skarb, nieoceniony skarb dla nas: inspektor pracy, który życiowo traktuje to wszystko, uwzględnia trudności placówki, racje gospodarcze...

Pańkowicz wpadł w pauzę, żeby oświadczyć aksamitnym głosem:

— Ależ, Panie Prezesie, ja to bardzo dobrze doceniam... Pracuję z Panem Prezesem, a i z panem Miernikiem całe lata. Właśnie moja ocena sytuacji w fabryce wiązała się...

³⁸niebyłe — takie, które się nie zdarzyło. [przypis edytorski]

³⁹Kiereński, Aleksander (1881–1970) — socjalista rosyjski, w roku 1917 przewodniczący Rządu Tymczasowego, obalonego przez przewrót bolszewicki. [przypis edytorski]

⁴⁰pasować — ustępować. [przypis edytorski]

Nastąpiło rozłączenie. Odłożył więc słuchawkę, żeby za chwilę znów podnieść ją do ucha. Baczyński cicho, jakoś dziwnie chrypliwie, zgrzytał przez telefon:

— No, musiałem rozłączyć, żeby nie powiedzieć panu brzydkich słów!!! Naprawdę, w tak przykrew chwili, pan doprowadza mnie do pasji swoimi analizami! Co pan, socjolog czy filozof, u ciężkiej cholery! Wiązało się panu! Proszę!! Tak samo tam wiązało się wszystko w tej kiereńszczyźnie, aż zawiązało im na własnej szyi! Proszę pana! Musimy się ratować, ten Malczyk, to przecie kat, to oprawca, widziałem go kiedyś z daleka — ponury, wściekły drab! Że też ten Gałkowski upadł, cóż to za święty człowiek był razem ze wszystkimi swymi pretensjami! Teraz to już naprawdę nie pojmuję, żem nie miał dość względów i ustępliwości dla takiego, jak Gałkowski, delegata! Trzeba było im wtedy te wypłaty wyregulować, no, doprawdy, taki błąd!

— Pytałem, Panie Prezesie, Pan nie kazał...

— Hu-u-u. Pytał pan!!! Ależ z pana słodki charakter!!! Krew mnie chyba zaleje... Panie Zygmuncie kochany, no dzwoń pan do tego Kostrzewy, czy innej cholery, jaka tam się dziś wygłupiać będzie nad nami! Ja do nich dzwonić nie będę! Kostrzewa był dawniej na lewicy; wiem, zbierałem kiedyś od naszych ludzi informacje! Do Naczelnika Państwa z delegacjami małorolnych chodził w 1919 roku! O reformę rolną! Sztandary czerwone po zamkach wywieszał! Ja takich rzeczy nie daruję! Nie zapominam! Chodź pan, zakrzętnij się pan, panie kochany, bo naprawdę ścięty jestem z nóg tym Miernikiem i tym wszystkim... Zresztą, mam dziś pilne sprawy. Nie mam dziś ani czasu, ani zdrowia na fabrykę. A tu trzeba zapobiec, panie, od razu zapobiec, bo inaczej może być zupełna klapa! Brakowało nam jeszcze strajku!!

Pańkowicz sądził, że rozmowa skończona i żegnał się, bo przecie musiał jeszcze złapać przy telefonie inspektorów — urzędowanie kończyło się. Ale prezes miał jeszcze coś do powiedzenia.

— Panie! W dzień i w nocy proszę o wieści! W ostateczności będę błagał wojewodę o ratunek! Ale to w ostateczności, pan rozumie, nadużywać nie mogę! A teraz niech pan działa, łagodź! Grozi! Ostrzega, tak, jak tam lepiej wypadnie... Słowem, zapobiega pan!... A ja pana przepraszam za niegrzeczność, ale wie pan...

— Ależ nic nie szkodzi, Panie Prezesie. Moje uszanowanie...

Z inspekcją tego dnia nie udało się już rozmówić, bo właściwy, obwodowy inspektor był na wizytacji, a okręgowy inspektor Kostrzewa od rana lustrował w powiecie roboty Funduszu Pracy.

Dopiero następnego dnia, z samego rana, Pańkowicz złapał Kostrzewę przy telefonie. Kostrzewa wysłuchał go i udzielił mu kilku praktycznych wskazówek.

— Cóż tam, od razu pietracie się tak, panowie? Może to i dobrze, bo wreszcie może zastanę pana Baczyńskiego w fabryce, jak będę miał czas wstąpić. Są żądania i co? Odrzuciliście? Proście o pośrednictwo?

— Nie, panie inspektorze, pan Baczyński jeszcze dotąd nie przyjął delegata, więc żądań oficjalnie jeszcze nie przedstawiono. Tylko nowy delegat zapowiedział mi, że będą dziś zgłoszone takie żądania.

Inspektor pracy zaśmiał się.

— Cóż to, panowie, piętnaście lat spaliście? Nie umie pan sobie radzić? Pan Baczyński musi przyjąć delegata i (jeżeli sam rządzi) uwzględnić albo odrzucić żądania. Ja radzę uwzględnić, bo sobie wyobrażam, co to może być: podwyżka, no, macie płace daleko niższe niż przeciętne w tej branży. Co tam jeszcze? Aha! Prawidłowe obliczanie, no to macie już z nami o to sprawę. Radzę więc uwzględnić... A jeżeli pan Baczyński sam nie rozstrzyga, no to zbiera ciało kompetentne i...

Pańkowicz przerwał:

— Pan Prezes zupełnie sam może rozstrzygać.

— Więc sprawa bardzo prosta! Przede wszystkim przyjąć delegata i postarać się uzyskać z nim porozumienie! I o taką rzecz pan dzwoni mi wczoraj przez cały dzień do domu i do wszystkich miejsc możliwych i niemożliwych! Nic tu takiego nie ma w tej chwili dla mnie do rozważania. Najlepiej załagodzić robotników, bo pretensje ich są słuszne i każdy urząd im to przyzna. Do widzenia panu.

Kostrzewa śpieszył się, bo na biurku dzwoniło już jedno z miast, budowa Domu Dziecka. Musiał wszędzie nastarczyć.

Ale przed wyjściem z biura zapytał jeszcze w sekretariacie:

— Czy nowy delegat fabryki „Szpilka” nie zgłaszał się jeszcze do obwodu? Proszę mi oddać słuchawkę. Panie inspektorze, nie wiecie nic o fabryce „Szpilka”? Tam zatarg, już sformułowali żądania. Dzwonili do mnie z dyrekcji. Nic pan nie wie? Robotnicy się nie zgłaszają? To źle... No, to są owoce... No więc niech pan czeka, ale niech pan trzyma rękę na pulsie. Jak tylko która strona się zwróci o pomoc, brać tę sprawę.

Baczyński, ciskając się i złorzecząc, usłuchał rady Kostrzewy i przyjął Malczyka przed południem, w biurze. Nie podał mu ręki i stał na środku pokoju, przeglądając wypisane na kartce papieru żądania. Postanowił panować nad sobą i być jak najwzględniejszym dla robotników: „nie wywoływać wilka z lasu” — prosił Pańkowicz. Ale Baczyński od początku czuł, że pasja dławi go w gardle. Odłożył kartkę na mały stolik przy ścianie i poszedł wziąć sobie z pudełka cygaro. Malczyk zapytał go wtedy spokojnie:

— Jak pan dyrektor sądzi? Będzie do uwzględnienia?

Ta prosta, mało ceremonialna, a jednak wytworna w swej prostocie forma zwrotu, rzuciła Baczyńskiemu do głowy całą rozporządzalną krew. Malczyk przyglądał się mu jakby zdziwiony. Jednak Baczyński opanował się.

— Powiem wam — wymówił nieco stłumionym głosem — co myślę! To jest bolszewizm! Rządzić fabryką wam się zachciewa!! Majster, portier, usuwać robotników?! Gałkowskiego, własnego przedstawiciela!!! Cóż, może tedy zechcecie płacić moje bankowe i inne zobowiązania, gwarantować wykonanie obstalunków? Co, panie... Malczyk?

Zastanowił się nagle:

— Malczyk? To pseudonim, jak tam, pioniera?! Czy nazwisko?

Malczyk stał niewzruszony, on też obiecał sobie wielkie panowanie: nie uronić powagi delegata. Uśmiechnął się tylko nieznacznie w odpowiedzi na ostatnie słowa.

— Interesuje to pana dyrektora? Nie, to nie żaden pseudonim, to polskie nazwisko. Jestem spod Przemyśla. A fabryką rządzić nie zgłaszamy w tych żądaniach. Majster ten i portier fabryce chluby nie przynoszą, bo to musi pan dyrektor wiedzieć, że założyli tu sobie burdel, tylko, że dziewczęta tu nic nie winne i nic za to nawet nie dostają. To znaczy, owszem: dostaje paczkę firmowej włóczki i ma prawo przez tydzień spóźnić się do pracy o pół godziny, to już nie wiem, na koszt firmy, czy opiekuna! Na to mam zeznania robotnic zebrane. Więc czy to bolszewizm, panie dyrektorze, że takiego majstra nie chcemy?

Baczyński palił i pykał wściekle cygaro.

— Ani jednemu słowu nie wierzę! Same dziewczki lecą na Zielnika, bo morus jest i wagę ma. A zresztą, jakby nie chciały, to co by im zrobił? Proszę? Ha?

Patrzył tryumfująco to na Malczyka, to na bladego Pańkowicza. Na to Malczyk odpowiedział znów bardzo spokojnie:

— To jest mus, panie dyrektorze. A jak odmówi, to za bramę! Przecie w majstrów to rękę. Dziewczęta przychodzą z domu prosić o przyjęcie do pracy, czasem nawet i rodzice proszą razem. To jest tak zorganizowane u nich, że portier odsortowuje lepsze, brzydkie pędzi precz, ale i lepsza dostanie się do pracy tylko wtedy, jak majstrowi powolna... pod tym względem...

Baczyński niespodziewanie wybuchnął głośnym, nerwowym śmiechem. Nie chciał tego; tak się jednak wyładowało napięcie nerwowe, opanowywana pasja i mitygowana, ale żywa, chęć dokuczenia delegatowi.

— A to byłby dopiero numer! — wykrztusił w tym śmiechu. — Musi pan, przecie i pan jest mężczyzną, przyznać, że to musi być wprost na podziw morus, ten Zielnik! Nie, nie. — powściągnął się nagle. — Ja tego wcale, całej tej organizacji nie znałem, no i sądzę, że tu dużo przesady! Wreszcie — był już całkiem opanowany i oglądał właśnie politurę na paznokciach — zrobię mu, owszem, uwagę, ale prawa do rządu się, wydalania, wyznaczania, to nie przyznam panom i stoję przy tym, że to: to już wszystko są wschodnie wpływy! Panie!!!

Wrócił do kartki z żądaniami i znów cały się rozczzerwienił:

— Podwyżka, co u licha?! To niszczyć chyba chcecie warsztat pracy! W takim czasie! Odrzucam, stanowczo i bez gadania, nawet nie ma mowy! Odrzucam wszystkie żądania! Uwzględnię tylko co do tych akuratszejszych obliczeń przy wypłatach. A te inne, to szkoda gadać, panie Malczyk, musicie poniechać!

Patrzyli na siebie, Baczyński zadowolony, że tak pokojowo kończy z robotnikami, że zdobył się na tyle opanowania; Pańkowicz — w strachu, co z tego wyniknie, i Malczyk — niezmiennie, niewzruszenie spokojny. Tylko wybuch nagłej wesołości fabrykanta, gdy opowiedział mu o poniewierce dziewcząt w fabryce, na sekundę naruszył jego wewnętrzną równowagę, w sposób zresztą bardzo mało widoczny. Drgnęły mu tylko z lekka brwi, poróżnowały wpadłe, smagłe policzki, zmrużyły się oczy, siwe, twarde w wyrazie. Ale trwało to tylko sekundę. Wysłuchał spokojnie do końca i rzekł, odbierając kartkę z rąk Baczyńskiego:

— To też szkoda gadać, panie dyrektorze, bo wszystkie nasze żądania to są razem albo żadne. A my od żadnego nie odstępimy.

Skłonił się i wyszedł. Baczyński latał po pokoju, mocno zakłopotany.

— Jak pan myśli, czy poważą się na strajk? Tyle kobiet, robotnicy przeważnie więcej...

Pańkowicz odpowiedział z pewną godnością:

— Może to i kiereńszczyzna, Panie Prezesie, ale zbyt długo ludziliśmy się i co do ich słabości, i co do naszej przewagi. To znaczy było tak, ale już tak nie jest. I skoro on ma na wszystko dokumenty, to wygrają i w inspekcji pracy!

Natychmiast po rozmowie z dyrektorem, w przerwie obiadowej, Malczyk zatrzymał wszystkich w podwórzu i zdecydowano ogłosić strajk. Zielnika, który pierwszy rozeznał się w sytuacji i pędził do kantoru uprzedzić, co się dzieje, Malczyk pochwyił w drodze i przytrzymał łagodnie, ale stanowczo za rękę.

— Nie radzę się śpieszyć, panie majstrze, bo nie ma po co. Za małą chwilę będziecie panowie mieli tu czasu garściami!

Musiał też Zielnik, choć zbladły, stać spokojnie przy Malczyk w podwórzu, bo Malczyk był silny i dobrze nań uważał. Zresztą naokoło byli sami robotnicy i ogólna temperatura nie sprzyjała rozwijaniu majstrowskiej energii. W ciągu dziesięciu minut zebranie zostało zakończone i robotnicy rozeszli się po fabryce zająć ją aż do uwzględnienia ich żądań.

Tak tedy rozpoczął się polski strajk, strajk okupacyjny w fabryce „Szpilka”.

W kantorze zapanował popłoch, Baczyński już był odjechał, ale Pańkowicz telefonował i powiadomił go. Baczyński oświadczył, że nie zjawi się do fabryki, póki robotnicy ją okupują; nie może narażać życia, ma żonę i dziecko. Malczyk jest oprawcą, pastwił się nad nim już w czasie rozmowy. Całość załogi — to wredny, głupi motłoch, udawali tyle czasu prorządowców; przecie ścisnął ich brudne, choleryczne grabie na różnych akademiach. Niech to diabli! Zosia była zawsze mądrzejsza, bo nie dawała się nigdy zwieść ani nabrać motłochowi i zachowała dla nich określenie, zwięzłe i wdzięczne, importowane z kochanych kresów ukraińskich: „hadiuki”. Wprawdzie tam dziedzice i ich rządcy stosowali je do wsi, do chłopów ukraińskich, ale pani Zosia uważała, że to się doskonale dopasowuje również do polskiego ludu i to bez różnicy — chłopca czy robotnika w mieście. Hadiuki. To było trafne! „Hadiuki!” — wykrzyknął Baczyński w telefon, wpadając na to pyszne określenie.

— Nie przyjadę! Zamykaj pan kantor, powiadom wszystkich, zamykamy! Niech strajkują! Dzień, dwa posiedzą głodni i pójda po rozum do głowy. A gdyby nie, no to już ja się zakrzętnę! Od czego ta inspekcja!

Ale Pańkowicz już wszędzie zdążył dzwonić. Robotnicy nie zwracali się wcale do inspekcji i strajk zapadł bez wyzyskania tej drogi. Zresztą i dyrekcja — wobec stanowiska Baczyńskiego — na tę drogę nie weszła. Można było i z tej strony zwrócić się do inspekcji, Pańkowicz pamiętał cały czas o tym, ale Baczyński powiedział mu już kilka razy, że Miernika nie ma, a z tamtym pyszałkiem nie będzie sobie psuł trawienia.

Kantor zamknięto, majstrowie opuścili fabrykę, zostali sami robotnicy. I wtedy portier, od razu się zmieniając, zwrócił się do strajkujących z propozycją prowiantowania ich podczas strajku. Stawiał wcale skromne warunki. Gdy zaś po krótkim czasie rodziny wiedziały już o strajku i zaczęło się donoszenie żywności, portier, jak poprzednio po majstra Zielnika, telefonował teraz z portierni po tego lub innego robotnika, żeby sobie zabrał swoje jedzenie i zobaczył się z żoną lub córką. Od portiera też wyszedł wniosek, żeby strajkujący obrali sobie dyżurnych dla tych posług, gdyż policjant nie pozwalał rodzinom gromadzić się pod fabryką. Kontakty więc skróciły się wnet do samego tylko oddawania

portierowi paczki. Malczyk otrzymał od załogi dwóch pomocników i krążyli pomiędzy portiernią a załogą, donosząc żywność i niekiedy skąpe wieści. W takich jednostajnych warunkach ubiegło parę dni. Nie słyhać było o żadnej zmianie; z dyrekcji nie zwracał się nikt. Zanosilo się na zwykłą walkę: która strona wytrzyma dłużej?

Robotnicy byli pewni swej słuszności i strajk ten przechodził moralnie w okolicznościach naprawdę krzepiących ducha. Załoga, dotąd niezwarda, rozbijana przez posunięcia Galkowskiego i dyrekcji, dopiero w tej pierwszej zbiorowej akcji doznawała wspólnoty i nabierała tężyzny. W nocy podzielono się między dwie połowy fabryki: jedną zajmowali mężczyźni, drugą — kobiety. Zaledwie kilkanaście par, już złączonych lub sympatyzujących ze sobą i teraz zbliżonych przez wspólną walkę, układało się do snu razem, wybierając zaciszniejszy zakątek. W dzień natomiast byli ciągle wszyscy razem i więź braterstwa, koleżeństwa narastała między nimi po prostu z godziny na godzinę. Malczyk, pozbawiony swej Geni, która porzuciła pracę po przejściu z Zielnikiem, oddawał całą swoją młodą energię sprawie publicznej — podtrzymywaniu ducha towarzyszy i towarzyszek, omawianiu z nimi wspólnych bolączek fabrycznych i ogólnych robotniczych. W ciągu też paru dni z delegata, z którym sympatyzował ogół, urósł wśród nich do potęgi nie wodza (bo te kompleksy obce są środowisku robotniczemu), a najukochańszego człowieka. Nie było skargi i krzywdy ludzkiej, której by w tych dniach nie wysłuchał i nawet nie zanotował. Spełniał to wszystko z dużą, nad wiek, powagą i tak jakby w głębokim przeświadczeniu, że cały ten, bardzo obfity i jaskrawy materiał poniewierki i nędzy robotniczej będzie komuś potrzebny. Chodził też z kartkami, karteluszkami, które rozkładał sobie po kieszeniach; można go było zawsze widzieć, jak przystawał przy tej lub innej grupie kobiet czy mężczyzn, wysłuchiwał i notował bez końca.

Ogromny krok naprzód w życiu się, zbliżeniu, ujednostajnieniu dokonał się w związku z zupełnie jednolitą oceną byłego delegata Galkowskiego. Teraz dowiedzieli się wszyscy, kim był ten człowiek i jak pracował na dwa fronty. Jackowski wciąż siedział jeszcze w więzieniu i gmatwano mu sprawę, ale dawno już prawie wszyscy robotnicy — chyba za wyjątkiem małych dziewcząt — rozpoznali się w nieszczerzej służbie delegackiej Galkowskiego.

— Toż to była taka robota, żeby z miejsca nie ruszyć! — mówili. — Obiecywał i załagał i przewlekał, a jak widział podejrzenie, to wtedy się zaraz brał niby energicznie do czyjejś sprawy, by wnet potem ją zostawić, jak tylko ten go z oka na chwilę spuścił. Taki to był i delegat.

Samorzutnie powstało też w tych rozmyślniach porównanie delegackiej roboty Galkowskiego do inspektorskiej Miernika. Nie to, żeby podejrzewano inspektora o tego rodzaju kanalijskość, w jakiej żył Galkowski, nie, robotnicy nie byli wcale pochopni do budowania tak krzywdzących a nieuzasadnionych podejrzeń, ale oceniano wyniki inspektorowania Miernika tak, jak wyniki delegactwa Galkowskiego. Wreszcie jedna z młodych robotnic znalazła właściwe określenie i dla Miernika.

— No widzicie, on robił też stale na dwa fronty! — powiedziała. — Bo tak. Z urzędu, z pomysłu tych ustaw i w ogóle państwa, jak się ono tworzyło wtedy po wojnie, to taki inspektor musiał być niby urzędowym zastępcą robotników. W każdym razie dla robotników był ten urząd wyznaczony. To więc zawsze byłby jego obowiązek. A ten Miernik prócz tego, że bardzo lichy nas bronił, to jeszcze więcej chronił fabrykanta, bo dawał posłuch na każde żądanie, darowywał mu wszelkie zaniedbania, choćby i prawne. I wszystkie nasze krzywdy, choćby najprostsze — to tak przewlekał, tak maglował, tak mitrężył jak i tamten szpicel!

Malczyk przysłuchiwał się temu i tak sobie myślał, że wielką zdobyczą jest dojść już do tak jasnego widzenia rzeczy.

Tak więc wzrastała i krzepła ich wspólnota — z rozpamiętywania wspólnych krzywd, z uprzytomnienia sobie dokładnie różnych przeszkód, różnych przeciwdziałań, jakie wyrastają na twardej drodze ich pracy i życia. Nie było też żadnej różnicy między nimi w tym, że zgodnie uważali za największe nieszczęście rozbicie sił klasy robotniczej, namnożenie się wielu związków, potrzebnych często organizatorom do celów osobistych, lub też dla osłabienia potęgi robotczej.

Przywódca, Robotnik,
Współpraca

— Nie zmarnujemy tych dni tutaj — mówiły kobiety. — Za⁴¹ trzy lata należenia do związku tyle nie zrozumiałam naszych spraw, co tu za te trzy noce.

VI. TA NOC...

Podczas gdy robotnicy fabryki „Szpilka” strajkowali, w niektórych urzędach powstało zaniepokojenie. W formie krótkiej syntezy, błąd i cała dramatyczność położenia wynikła stąd, że podczas gdy we właściwym urzędzie ochrony pracy (inspekcji pracy) zainteresowanie faktem strajku okupacyjnego w fabryce „Szpilka” było o wiele za słabe, za bardzo akademickie, w urzędzie pośrednio tylko stykającym się ze zjawiskiem pracy ludzkiej, poprzez bezpieczeństwo, zajęto się tym zbyt gorąco i pod zupełnie niewłaściwym kątem widzenia.

Strajki okupacyjne w Polsce mnożyły się już od czterech lat i w pierwszych dwóch latach, gdy na tle kryzysu rozkwitało bujnie łamistrajkostwo — stawały się jedyną możliwą formą obrony żądań ekonomicznych i walki o poprawę warunków pracy. Ze strajku normalnego, zwykłego, bez okupowania fabryki, fabrykant mógł sobie śmiało kpić, gdyż zazwyczaj nazajutrz potrafił uruchomić fabrykę przy nowej pełnej obsadzie z wczorajszych bezrobotnych. Ale w miarę przedłużania się kryzysu całe zjawisko mocno się zmieniało. Ponad chęć i konieczność walki o poprawę aktualnych warunków pracy, okupujący fabrykę robotnicy bywali zmuszeni wydzwignąć bohaterską walkę o istnienie samego warsztatu pracy. Bywał on bowiem przeznaczany przez kapitalistę (spółkę) do zgaszenia z powodu zmniejszonych zysków lub też z powodu międzynarodowej solidarności kapitału, gdy np. spółka kazała tu gasić, otwierając po drugiej stronie granicy (sprawy śląskie i zagłębiowskie), z powodu więc międzynarodowych interesów pochodzących od faszystowskiego. Ten dla własnych politycznych celów potrzebował pozornych dowodów wobec mas, że tam, gdzie już panuje bezkompromisowy faszyzm, bez żadnych fartuszków wstydlivosti (np. w Trzeciej Rzeszy), tam można pełnymi garściami mieć pracę. Otóż ta walka robotników w ustroju kapitalistycznym w obronie warsztatów pracy przeciw chęci ich właścicieli, walka, płonąca epopejami tej miary jak „Klimontów”⁴², „Szczęście Luizy”⁴³ i tyle innych, ta walka stała się zrozumiałą i bliską całemu nieposiadającemu społeczeństwu i w jej ogniu tajać poczęły szeregi łamistrajków. Tak też się stało, że w owym drugim dwuleciu polskich strajków, strajki te nie miały już tego ograniczonego znaczenia, jakie w wywiadzie swym przyznał im kierownik polskiej inspekcji pracy (pogląd spóźniony o całe dwa lata); urastały natomiast do znamion walki, prowadzonej przez proletariat już z samą istotą złego ustroju; walki, kwestionującej prawo właściciela do swobodnego rozporządzenia swym warsztatem pracy, mianowicie rozporządzania ku krzywdzie społeczeństwa. Tamten pierwotny cel — zagrozenia drogi łamistrajkom-bezrobotnym w nowych warunkach niesłuchanie szybkiej odbudowy solidarności robotniczej — przestawał już być w przeważającej ilości wypadków aktualny: w wielkich ośrodkach przemysłu polskiego wszystkie niemal strajki w ostatnim roku były wygrywane przez robotników, gdyż fabrykant nie znajdował już chętnych do łamania akcji strajkowej.

W interesującym nas województwie strajki okupacyjne nie były też żadną nowością i statystyka inspekcji pracy nie notowała tu żadnych w związku z tym konfliktów i ofiar, z wyjątkiem jednego wypadku, gdzie całkowitą odpowiedzialność za postradanie życia przez kilku robotników ponosiły centralne, nie zaś miejscowe władze. Siedzący od lat na tym terenie wojewoda, zapewne „niemodny”, człowiek raczej starodawnej daty, posiadał głęboką uczciwość społeczną, pojmował konieczność walki robotników o poprawę warunków ich pracy i niewątpliwie nawet współczuł tej walce w głębi swego serca. Zewnętrzny wynik takiego ustosunkowania się do zjawisk pracy wyrażał się w polityce pokojowego załatwiania wszelkich zatargów i niewpuszczania na ten teren pobocznych politycznych rozgrywek. Strajki okupacyjne, trwające nawet po kilka tygodni, traktowano jako walkę pomiędzy dwiema stronami i władze — jeżeli wkraczały — to w charakterze

Własność, Walka klas

⁴¹za — (tu rusycyzm:) przez. [przypis edytorski]

⁴²Klimontów — kopalnia węgla koło Sosnowca. W roku 1933 w proteście przeciw planom zamknięcia zakładu miał tu miejsce dramatyczny strajk okupacyjny połączony z głodówką. Górnikom udało się wywalczyć zasiłki socjalne. [przypis edytorski]

⁴³Szczęście Luizy — mała kopalnia koło Katowic. W roku 1935 miał tu miejsce strajk z powodu zalegania z wypłatami dla górników. Ich żądania zostały spełnione. [przypis edytorski]

pośrednika, pragnącego pomóc przy załatwianiu konfliktu i przyczynić się choć w małej mierze do poprawy bytu pracujących. Wraz ze zmianą wojewody ta długo pielęgnowana polityka uległa załamaniu. Wprawdzie bezpośrednia możliwość ingerencji pozostawała zasadniczo w rękach inspektora pracy, ale Kostrzewa wyczuł od razu odmienną linię władz administracji ogólnej i — ulegając oportunistom — mógł wypuścić ze swych rąk w tym wypadku wszelkie cugle, jak to właśnie miało miejsce w tym wypadku.

Gdy robotnicy fabryki „Szpilka” rozpoczynali czwarty dzień swego strajku, wojewoda został w najmilszej chwili beztrząsanych kroków tanecznych (z towarzyszeniem umiętnych przyciskań pani Zosi) zaatakowany przez uroczą tancerkę od strony problemu tego strajku. Zrobiła to tak.

— Ach, ten taniec dziś, panie wojewodo, był już mi po prostu psychicznie konieczny!... Kojąco działa... Przez cały dzień ma się tyle strasznych przykrości, to okropne zdenerwowanie mego męża, cały ten tam polski strajk u nas!

Wojewoda roześmiał się:

— Znalazła też pani czym się denerwować! Cóż pani ma tam do takich głupstw! Mała rzecz!

Taniec skończył się i odeszli do stolika, który zajmowali tego dnia we dwójkę. Pani Zosia uważała za niewskazane prowadzić dalej rozmowę. Ale w pauzie między tańcami niespodziewanie dla pani Zosi, aż krzyknęła! Wszedł na salę jej mąż.

— Bronek!!! Co ty? Czy pan wojewoda pozwoli?

Oczywiście pan wojewoda pozwolił Baczyńskiemu się przysiąść. Nawet zapytał go sam:

— No cóż tam, strajkuje pan? Czemu pan nie kończy?

— Niestety, panie wojewodo, to się całkiem wymknęło z naszych rąk.

Baczyński miał przy tym minę tak zdemolowaną, jakby przeszła po niej spacerem cała strajkująca załoga. Wojewoda zmarszczył nos. Okropnie nie lubił tragedii w ogóle, rozmiękłych ludzi, a w szczególności, gdy mu przeszkadzano odetchnąć chwilę po pracy urzędowej. Powiedział też dość kwaśno:

— No, nie umie, pan sobie radzić!! Robotnicy u nas nie chcą nic innego, jak pracować i jeść. Przy tym muszą należeć przecie do związków, czyż nie ma pan tam Korzeniowskiego, Mitka itd., żeby z nimi pogadali, i z panem, i zakończyć ten interes!

Baczyński ożywił się.

— Ależ panie wojewodo, czyż ci ludzie utrzymają co w rękę?! Przecie oni tylko to robią, że się przelicytowują z czerwonymi! Zresztą moi robotnicy przed strajkiem wszyscy przeszli do opozycji! Ale owszem, dzwoniłem dziś, mówiłem z Mitkiem, prosiłem go żeby wpłynął, bo przecie tak z dnia na dzień nie stracili wszystkich swoich wpływów u mnie; pełno tam mają strzelców⁴⁴ i peowiaków⁴⁵. To wie pan wojewodo, co mi ten Mitek powiedział?! Że zbieram owoce własnego postępowania z robotnikami w mej fabryce i że nie takie jeszcze powinienem mieć przykrości za wszystkie krzywdy, które się tam działy!! Rzuciłem słuchawkę, bo doprawdy; no, wiem, to zasłużony człowiek! Nie chciałem nagadać mu ostatnich głupstw!

Wojewoda nie rozchmurzał twarzy, bo rozmowa irtowała go, a przy tym grali już do tańca.

— Mitek to legionista, podoficer i prorządowiec. Musiał pan mu czymś dopieć. No więc likwiduj pan ten cały strajk z kim chcesz; masz pan przecie inspektora pracy!

Baczyński zdobył się na odwagę.

— Panie wojewodo, wiem, że to nietakt, zajmować tym pana wojewody drogocenny wolny czas. Ale czy mogę prosić o posłuchanie jutro z rana w biurze? Mam pewną prośbę, a okoliczności tam u mnie... Bo to panie wojewodo, niby to mój prywatny interes, ale tuszę⁴⁶, że tu i państwo może się uczuć zainteresowane.

⁴⁴strzelcy — członkowie Związku Strzeleckiego założonego w roku 1910. W okresie II RP „Strzelec” prowadził działalność w zakresie przysposobienia wojskowego i polityczno-oświatowego; związany był ściśle z obozem rządzącym. [przypis edytorski]

⁴⁵peowiaci — członkowie założonej w roku 1922 organizacji kombatanckiej Związek Peowiaków, zrzeszającej byłych członków Polskiej Organizacji Wojskowej. [przypis edytorski]

⁴⁶tuszyć — spodziewać się, mieć nadzieję. [przypis edytorski]

Wojewoda nie lubił żadnego, ale to nawet cienia, najdelikatniejszego pouczenia: jakby sam mógł czegoś nie dostrzec lub nie ułoić we właściwym czasie. Odpowiedział też szorstko, jednocześnie prosząc już panią Zosię do tańca:

— Służę panu, tak koło jedenastej. Nie widzę tu wprawdzie nic szczególnego, znam to wszystko na pamięć i lepiej od każdego z panów. Bywaliśmy we wszystkich ruchach społecznych! Do widzenia.

Baczyński bał się, że się mu naraził natręctwem i wychodząc, posłał błagalne spojrzenie żonie. Wojewoda zapominał już o niemiłej rozmowie, kołysząc się w takt przecudnej melodii *słow-foksa*⁴⁷ i zajęty upasowywaniem piersi i brzuchów do siebie wzajem i do taktu. Pani Zosia taktownie wyczekiwała, dokazując cudów w wynikach tego dopasowywania. Gdy zaś wrócił już nastrój błogiej beztroski, cieplej, pogodnej, wygodnej i kojącej, szepnęła, przytulając przelotnie lewy policzek do podbródka wojewody:

— Ja przepraszam... za siebie i za męża... bardzo...

To „bardzo” rozpyliło się w bardzo przyjemnym dreszczyku, jakiego doznawał właśnie wojewoda. Wywdzięczył się też jej za cudną chwilę po męsku:

— Nie ma za co przepraszać, pani Zosiu. Zlikwiduje się!

Zapanował obopólny czar o takim nasyceniu, że po prostu nie umieli rozstać się tego wieczoru: zdawało się im, że muszą się przemocą oderwać. To właśnie działała tak moc wojewody...

Z rana, wcześniej niż zwykle, wojewoda kazał rozmawiać z inspektorem Kostrzewą. Zamierzał sam z nim mówić. Ale tamten właśnie mówił z Warszawą, a gdy potem Kostrzewa łączył się z wojewodą, do wojewody znów dzwoniło inne miasto. W międzyczasie wojewoda dał już polecenia.

Niech inspektor wystąpi o delożowanie⁴⁸ robotników w fabryce „Szpilka”, ze względu na niemożność zlikwidowania zatargu normalną drogą i niebezpieczeństwo przeciągania i mnożenia tych okupacji, podniecających robotników.

Wojewoda kazał zaznaczyć, że woli mieć na to wniosek inspektora pracy. Kostrzewa, o którego oparł się ten telefon i obwodowy inspektor pracy, nie odważający się bezpośrednio mówić do wojewódzkiego telefonu — znalazł w sobie odwagę odmówienia wręcz tej propozycji. Wyjaśnił, że takie strajki nie są w województwie żadną nowością, nigdy nic groźnego stąd nie wynika, władze bezpieczeństwa mogą się wcale tym nie zajmować. Poza tym strajk trwa zaledwie od paru dni, jakąż tedy zachodzi konieczność takiego wkraczania? W ogóle zaś — zaznaczył — tego rodzaju mieszanie się do strajku wcale nie było jeszcze w województwie praktykowane i może doprowadzić do znacznego wzburzenia robotników. Gdy urzędnik zaraportował wojewodzie to wszystko, ten przerwał niecierpliwym ruchem ręki:

— To jakiś pyszałek, ten Kostrzewa! Nic mnie nie obchodzi jego filozoficzne wywody, ja mam lepsze studia za sobą. Spytaj go pan, czy ze strony robotników wyczerpane były wszystkie legalne drogi? Nic więcej mnie nie interesuje.

Urzędnik bardzo uprzejmie — ze swego telefonu — powtórzył w ten sposób:

— Panie inspektorze. Pan wojewoda dziękuje za wyjaśnienia, bardzo żałuje, że inspekcja nie zrobi takiego wniosku! Obstaje pan inspektor przy swym stanowisku? Więc w takim razie pan wojewoda kazał tylko zapytać: czy ze strony robotników zostały wyczerpane wszystkie legalne środki przed ogłoszeniem strajku?

Kostrzewa wyczuł doskonale, że są to już przygrywki przed decyzją; zawahał się przez sekundę, pomyślał, że jednak jest jego obowiązkiem dotrzeć do wojewody i rozmówić się z nim osobiście, ostrzec go; ale znów — skoro wojewoda zadawała się takim kontaktem... Oportunizm, a trochę i urażona ambicja brały górę:

— Jeżeli chodzi panu wojewodzie o to, czy robotnicy zwracali się do inspekcji pracy przed ogłoszeniem strajku, z prośbą o pośrednictwo?

Zawiesił głos.

— No tak — usłyszał — na pewno o to. Pan wojewoda pytał w tej formie, jak podałem.

⁴⁷*słow-foks* — inaczej: powolny fokstrot; taniec angielski. [przypis edytorski]

⁴⁸*delożowanie* — eksmitowanie, usunięcie z pomieszczeń. [przypis edytorski]

— Więc się nie zwracali, proszę pana — odpowiedział Kostrzewa, rozciągając słowa i zgłoski w słowach, jakby ważąc każdą z osobna.

— Ale — dodał znów żywo — jest to następstwem nadzoru inżyniera Miernika nad fabryką; pan wojewoda wie, że walczyłem półtora roku o zabranie go stąd.

Urzędnik puścił fachowo ten komentarz mimo uszu. Przypieczętował jeszcze tak:

— Więc wynika stąd, panie inspektorze, że robotnicy nie wyczerpali wszystkich rozporządzalnych legalnych środków?

Kostrzewa westchnął beznadziejnie:

— Stąd wynika, tak jest, proszę pana. Ale proszę powiadomić pana wojewodę, że ja ostrzegam przed następstwami delożowania robotników siłą i osobiście uchylam się od wszelkiej odpowiedzialności; uważam to nawet za wręcz szkodliwe w dzisiejszych warunkach.

Kostrzewa musiał przerwać, bo tu urzędnik wtrącił:

— Przepraszam pana inspektora, drugi telefon dzwoni. Moje uszanowanie.

Więc właściwa decyzja zapadła jeszcze przed przyjściem Baczyńskiego. Baczyński był też tam tylko krótką chwilę. Wojewoda nawet nie chciał go przyjąć, każąc powiedzieć mu przez sekretarza, że wziął już całą sprawę w ręce i doprowadzi do zakończenia zatargu. Ale Baczyński bardzo usilnie prosił o chwileczkę, po prostu — chwileńkę rozmowy.

Wszedł więc i chciał dorzucić wojewodzie wiadomości od strony nastrojów w fabryce (miał je od niezastąpionego człowieka, portiera Zielaka), od strony bezpieczeństwa publicznego. Wojewoda przerwał mu krótko:

— Jeżeli pan ma coś w tym względzie, to proszę bardzo do wydziału, jestem bardzo zajęty. Ale wątpię, bo my właściwie mamy wszystkie dane zupełnie dokładne. Tam są zakusy komunistyczne.

Baczyński wzniosł oczy w górę.

— Panie wojewodo, po prostu jasnowidzem pan jest!

Wojewoda wyduł pogardliwie wargi.

— Cóż panowie sobie myślicie, że to dla nas trudne zadanie albo co? Trzymamy stale rękę na pulsie! Komuniści dziś leżą do wszystkich miejsc, związków, organizacji. No, do widzenia panu, więc ja to mam w ręku: to się skończy! Oni opuszczą fabrykę!

— Naprawdę, panie wojewodo — gorliwił Baczyński — sfery gospodarcze cenią tę opiekę, tę prawdziwą władzę i autorytet.

Wojewoda przerwał mu mało uprzejmie.

— Panie! wart pac pałaca! Też pańskie sfery gospodarcze to ja mam... Państwo, to mój resort! Niech pan sobie nie wyobraża, że to zrobię dla pana, jako przemysłowca itd. Do widzenia!!

Baczyński aż musiał ochłonąć u sekretarza, tak bardzo mu było gorąco; błogo, a zarazem jakoś niespokojnie. W oczach miał wciąż całą tę bolszewicką bandę, sterczącą tam arogancko w fabryce, do której bał się wstąpić. Wojewoda był jasnowidzem. Rzecz jasna, że to wszystko byli komuniści! Nie wszystko jedno, czy mundur strzelecki, czy tam TUR⁴⁹ lub też inne czerwone, zielone skauty, jeżeli dusza komunistyczna, arogancja, zjadłość komunistyczna: podwyżka płac, zwalnianie majstrów, wprost komsomolskie początki! Pytał nieśmiało sekretarza, czy naprawdę wojewoda zdecydował się zlikwidować strajk! Sekretarz był zdyscyplinowanym urzędnikiem. Owszem, uprzejmie prosił „spocząć”, służył sodową wodą dla ochłody, ale w żadne rozmowy się nie wdawał. Powiedział, że, niestety, nie jest o niczym poinformowany; ma czynności ograniczone w swym zakresie. Baczyński musiał się wynieść i trwał do nocy w ciężkiej niepewności.

Przed wieczorem wprawdzie zaświtały mu już najróżowsze nadzieje. Oto portier przysłał swoją córeczkę dla zameldowania, że coś będzie, bo do portierni zgłaszali się policjanci zapoznać się z wejściem, pytali o rozkład hal, gdzie mianowicie siedzą robotnicy; córeczka meldowała ze słów ojca, że:

— Proszę pana dyrektora, to wcale nie nasza miejscowa policja! Tatuś od razu rozpoznał, a i oni nie ukrywali, że są sprowadzeni.

⁴⁹ *Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego* — socjalistyczna organizacja oświatowo-kulturalna, działająca w latach 1923–1948. [przypis edytorski]

Po tej wiadomości Baczyński wszedł do żony, wybierającej się na jakieś kobiece posiedzenie i powiedział:

— No, zdaje się, że wyjednałem; przekonałem wojewodę, że to jest po prostu mus państwowy, skończyć z tym strajkiem! Mam takie dane, że to załatwi.

Pani Zosia podmalowywała sobie właśnie przy lustrze twarzyczkę.

— Dlaczego nie odpowiadasz? — spytał Baczyński, szczypiąc ją leciutko w kark.

— Nie przeszkadzaj mi — odrzuciła — bo marszczę skórę, jak otwieram usta.

Przekora kobieca wzięła jednak górę, bo nagle odwróciła się i powiedziała:

— Już mi przeszkodziłeś; teraz już idź! A co do tej sprawy, to wcaleś jej nie załatwił, tylko, jeśli o to chodzi, to ja. Czego robisz takie oczy?! Oczywiście tak. Dzięki memu taktowi i wyrobieniu towarzyskiemu! To się, mój drogi, wynosi z domu, z dzieciństwa. No, wyjdź.

Pani Zosia wyszła z domu, a Baczyński aż do chwili otrzymania wiadomości — w nocy — kładł pasjansa: wyjdzie czy nie wyjdzie? Wydali robotników czy w ostatniej chwili się cofnie? Pójdzie już jutro fabryka czy nie? Pozwolą mu wyrzucić Malczyka i innych komunistów, czy nie i tam dalej, tam dalej. Z przerwą na kolację rozłożył do chwili otrzymania wiadomości — o godzinie drugiej w nocy — sześćdziesiąt cztery pasjanse.

Wojewoda, syt decyzji i poczucia własnej władzy, po południu wyjechał na kilkanaście godzin przewietrzyć się. Dużo zwykł brać na siebie, po prostu wszystko: potrzebował też chwil odprężenia.

— Dla innych brydź lub dobra książka: refleksyjne, statyczne natury: ja jestem ruch! Ruch! Dynamika! I wszyscy jesteście potrzebni!

Wojewodzina po południu miała parę osób (małe gronko) na kawie. Ktoś zagadnął ją o męża, urzędowanie, mnożące się strajki.

— On z tego wyjdzie — powiedziała z przekonaniem. — Właśnie on i tylko on. Państwo wiedzą, że nie jestem żadnym echem mego męża, mam własne upodobania i swoje życie. Ale doceniam jego zdolności. On i tu z tych rzeczy wyjdzie zwycięsko, jak wychodzi zawsze. To jest walka ze wschodnimi wpływami. To może być straszne i niepewne w wyniku tylko na naszych wschodnich kresach, bo tam wpływa i na nas, chcę powiedzieć: na naszą administrację, wschodnia dzikość sąsiadów, barbarzyństwo. To przecież nawet odbiło się na tych różnych metodach na prowincji, że trzeba było rozpędzać tam całe urzędy śledcze! Ale tu — zachód, inna gleba; a mój mąż — wprost jakby stworzony do porządkowania, oczyszczania atmosfery, jest takim wybitnie zachodnim człowiekiem.

Wszyscy uprzejmie potakiwali, ale niejeden chował (na te pół godziny) do kieszeni niepokój i wątpliwości bardzo zasadniczej natury, czy aby ten zachodni człowiek nadaje się na tym zachodzie do oczyszczania atmosfery. Umiejętność niemówienia nikomu tego, co się dokonywało właśnie pod czaszką — doszła już wśród inteligencji do takiej doskonałości, że takie „chowanie do kieszeni” należało po prostu do obowiązków dobrego wychowania.

Inspektor pracy Kostrzewa nic nie przeczuwał tej nocy. Zalatany, w ciągłych rozjazdach służbowo-społecznych i wprost społecznych powrócił tego dnia do domu późnym wieczorem i od razu położył się spać. Nawet nie czytał, tylko zaraz zgasił lampę, rozmyślając nad tańszą kalkulacją drogi kostkowej w jednym z powiatów województwa. Drogę tę budował Fundusz Pracy; Kostrzewa zajmował się, prócz inspekcji, Funduszem Pracy i tam wkładał maksimum swej energii, uzasadniając to tym, że wkładać należy więcej energii tam, gdzie można dokonać więcej pożytecznych rzeczy. Ostatecznie miał w tym sporo słuszności; a co było dlań najważniejsze, znajdował w tym uspokojenie moralne i niejako rozgrzeszenie zaniedbań, jakie krzewiły się na odcinku ochrony pracy. Nagabywany niekiedy przez starych przyjaciół, bronił się bardzo skutecznie. Mówił:

— Warunki pracy są złe, zabagnione i zaniedbane w całej Polsce. Wiecie o tym równie dobrze, jak i ja. Przyczyny? Są ogólne, a prócz kryzysu, słabości organizacji robotniczych są i inne, wewnętrzzesortowe. Więc na tym inspekcyjnym odcinku może odrobinę, a i to

wątpliwe! — polepszę stan ochrony pracy, a tam — na tamtym odcinku, gdy włożę tyleż energii i czasu, na pewno zatrudnię sporo ludzi, dam im jeść i zarobić parę groszy, podźwignę ich z ostatecznej rozpaczy! Połóżcie te dwie rzeczy na wagę.

Dlatego też i owej nocy Kostrzewa wołał myśleć o kalkulacji drogi niż dopuścić do swej świadomości to, co działo się w fabryce „Szpilka”, a co po dzisiejszych rozmowach z urzędem wojewódzkim skurczyło się w nim do małego, kłującego niepokojem, punktu: kwestii wyrzucenia robotników z fabryki przemocą. Przelotnie tylko, zasypiając, musnął tę dokuczliwą kwestię i zasnął z myślą: „Zrobiłem, co należało. Ostrzegłem! A robotnicy powinni byli jednak do mnie się zwrócić! Narzucać swego pośrednictwa nie mogę! Nie obliczam na jeden tydzień urzędowania. Nie mogę mnożyć wa-a-dliwych sposo...” Tu zasnął.

A robotnicy?

Nie podejrzewali nic. Lojalność portiera w pośrednictwie pomiędzy „stacją żywienia” strajkujących, to jest ich rodzinami a nimi wyczerpywała się w wykonywaniu tej obsługi bez reszty. Obsługa ta dobrze kalkulowała się Zielakowi, bo rodziny, supłając ze schowków, wydobywały miálkie grosze lub trochę „natury”, gdy szło o rodziców ze wsi. Były to drobne datki, dateczki, ale mnożone przez czterysta — coś dawały.

Posunąć się w lojalności względem robotników aż tak daleko, żeby uprzedzić ich o wizytach obcych policjantów, o tym Zielak nawet nie pomyślał. Służył panom przez całe życie i nauczył się rozumieć, że w końcu pan zawsze był górą. Ta nauka była twarda, kosztowała go w życiu wiele guzów dosłownie i w przenośni, ale zapamiętał ją sobie i przyswoił w tym sensie bardzo mocno. Był przy tym związany pobocznymi dochodami „od dziewcząt” solidarnością i „organizacją pracy” z majstrem, nieraz i z majstrami innych oddziałów na różnych odcinkach posług; pojmował doskonale, że to wszystko nie mogłoby trwać i rozwijać się jak teraz, gdyby nastąpiły jakieś rządy Malczyka czy Mitka. Dlatego też ukrył, nawet umiejętnie zamaskował przed robotnikami zakaz podany mu przez policję o wczesnym popołudniu pewnego dnia, żeby nie dopuszczać do żadnego widzenia robotników z rodzinami i zaniechać już przyjmowania żywności.

Załoga strajkowała piąty dzień i trzymała się bez zarzutu. Malczyk z dumą i radością stwierdzał — miast słabnięcia — wzrastanie nastrojów. Przez te pięć dni pierwszej wspólnej zbiorowej akcji wytworzyło się już nie tylko zwykłe koleżeństwo, ale bardzo dużo wzajemnego zaufania i serdeczności. Tym niemniej były pewne względy, dla których Malczyk bardzo chętnie widziałby jakiś zwrot ku nim ze strony dyrekcji fabryki. Wśród kobiet nie wszystkie były mocne i zdrowe, jedna była poważnie chora. Było kilka młodych kobiet w ciąży i dla tych warunki noclegu w fabryce, ciągły stan naprężenia i zdenerwowania były wprost szkodliwe i odbijały się z każdym dniem gorzej na ich wyglądzie i samopoczuciu. Ukrywały to bardzo starannie przed delegatem: „Serdeczny chłop! — mawiały. — Że też to jeszcze troszczy się o kobiety w takim położeniu! Oj, wybrałaś sobie Genka los, to wybrała!” — wzdychały. Malczyk nazywał je „moje mamusie” i otaczał je specjalną uwagą i opieką. Wyznaczył sobie do pomocy młodą robotnicę, mężatkę, Danutę Pawelkową, żeby go przy tej opiece wyręczała lub uzupełniała. Wyjaśnił jej na stronie, że „mamusie” mogą mieć takie różne swoje dolegliwości i potrzeby, o których będzie im nijako mówić z mężczyzną.

— Choć i ja mam żonę w takim stanie — mówił — ale zawsze dogodniejsze będzie tu wasze pośrednictwo!

Danuta podziwiała jego delikatność, zupełnie — jak mówiła — „niepodobną do chłopca!”

Poza tym tego ostatniego dnia Malczyk rozpoznał przez okno (w jednym z oddziałów okno z kantoru majstra wychodziło na ulicę), prócz Genki, z którą się stale przez okno pozdrowiał, Mitka, chodzącego wraz z Genką po ulicy. Wcale nie patrzyli w jego okno, choć przecie zawsze wypatrywała za nim oczy. Okno było wysoko, na czwartym piętrze, fabryka stała głęboko w podwórzu, tak iż nie słyhać było żadnych słów, a i rozpoznać się można było tylko z daleka. Malczyk rozumiał jednak z ich gestów, z ich latania tam i z powrotem po ulicy, że coś ich absorbuje. Poznawał też od czasu do czasu jakąś znajomą postać, kogoś z rodzin robotników. Widział, jak Genka i Mitek usiłovali dostać się do

fabryki i w pewnej chwili zbiegł nawet do portierni, sądząc, że portier ich wpuszcza. Jednak portier (było to już po godzinie siódmej wieczorem) oznajmił mu, że ma zakazane wpuszczanie do strajkujących kogo bądź, że był tu osobiście dyrektor i stanowczo mu zabronił.

— Panie Malczyk — prosił — niech pan mnie nie naraża, niech pan ode mnie tego nie żąda, bo przecież pan mnie nie poratuje, jak on mnie wyrzuci!

Malczyk miał wstręt do portiera i wołał odstąpić od prób widzenia niż prosić lub namawiać Zielaka. Wrócił do swego okna i wtedy zobaczył, że Genkę i Mitka zatrzymał policjant i że długo, z ożywieniem o coś się spierali. Genka w końcu spojrzała w okno, zamachała do męża ręką i wołała coś, ale nie mógł dosłyszeć. Odeszli potem wraz z policjantem. Malczyk stał jeszcze długo w oknie w nadziei, że wrócą, ale już ich więcej nie widział. Tylko dostrzegł jeszcze później, że policjanci odganiaли inne żony lub mężów nawet z tamtej strony ulicy, naprzeciw fabryki, czego dotychczas nigdy nikt nie robił. Wystawał przecie po kilka godzin przy tym oknie od kilku dni i wiedział dokładnie, jak to przedtem było. Musiało tedy przyjść jakieś nowe, surowe zarządzenie. Ale czyje? Malczyk nie mógł tego wykombinować: chyba z policji? „Czy to nie Gałkowskiego robota? — mignęło mu w głowie. — Czy nie wywołuje jakiej prowokacji?” Był jednak zbyt solidny z natury, choć młody, żeby się dzielić z kimś swoim odkryciem lub przypuszczeniem i ludzi straszyć. Po to był delegatem, ich człowiekiem zaufania i związku, żeby brać zawsze na siebie większy ciężar. Odszedł więc od okna i po krótkim czasie zarządził układanie się do snu. W dzień było dość czasu na rozmowy, trzeba było oszczędzać siły i przynajmniej porządnie się wysypiać. Poszli tedy wcześniej spać.

Nikt nie wiedział potem w nocy, jak się wszystko zaczęło. Malczyk obudził się od szarpnięcia, otworzył oczy, nad nim stało trzech policjantów i portier.

— To ten — powiedział Zielak. — To główny buntownik; choć niby strzelec — komunista. Delegat ich, Malczyk.

Władek wstał i od razu przytomniejąc, zapytał:

— O co chodzi, panie przodowniku?! My tu swoim prawem strajkujemy.

Przodownik skinął na policjantów.

— Pogadasz w innym miejscu — powiedział. Odprowadźcie go na stronę i trzymajcie w portierni, żeby tu nie agitował!

Policjanci, szarpiąc go i szturchając, popchnęli przed sobą na korytarz i na dół, ze schodów. Rozejrzał się: dziesiątki policjantów, jakichś nieznanych, bez żadnych numerów, strasznie nasrożonych i rozjuszonych, zrywało śpiących robotników i wypychało ich z hal. Zdążył krzyknąć jeszcze tylko głośnym, rażnym głosem:

— Spokojnie, towarzysze! Spokojnie! Nie poddawać się żadnej prowo...

Nie dokończył, bo prowadzący go policjanci dali mu jak na komendę, z jednej strony w ucho, z drugiej w bok. Ogluszenie w lewe ucho odebrało mu na chwilę przytomność umysłu, ale ocknął się natychmiast, wsparty o ścianę na schodach i wtedy porwał się na policjantów. Złapali go w kilku za ręce i ściągnęli na dół, pod schody.

Malczyk ocknął się — nie wiedział po jakim czasie — już sam. Zbudziły go straszliwe, rozdzierające krzyki kobiet. Nie mógł jednak wcale wstać: był potłuczony, był jakby pijany. Bolały go strasznie piersi i bok, skopane przez policjantów.

U kobiet policja musiała brać się ostrzej. Mężczyźni, budzeni brutalnie ze snu, nie rozpoznawali od razu, dawali się wypychać. Niektórzy widzieli, jak uprowadzono — domyślali się, że bito — Malczyka. Kilku wybiegło za nim na schody:

— Nie dać delegata!!!

I dostawało zaraz po twarzach, piersiach, brzuchach, kolanach od policji.

— Masz za wasz front! — wołali policjanci. — Rewolucji wam się zachciewa? Żydowskich Sowietów? To macie!

Tak rozproszyli się mężczyźni; przytomniejsi nawoływali krótko słowami Malczyka:

— Spokój, spokój, towarzysze! To prowokacja! Tu setka policji z bronią! Spokojnie wychodzić, nie dać się wytlukiwać!

Wychodzili; przodownik, stojąc przy wejściu na schody główne, po których każdy musiał przejść, liczył ich i popędzał do wyjścia.

Przemoc, Kobieta, Władza

U kobiet — zgodnie ze złym przeczuciem Malczyka — zdarzyła się gorsza bieda. Kobiety kwaterowały po drugiej stronie fabryki i nie słyszały budzenia oraz wyszturchiwania mężczyzn. Z mężczyznami już było wszystko załatwione, wypuszczano już ich spokojnie po dwóch na ulicę, kiedy z oddziałów kobiecych przedostały się straszliwe krzyki, wywołując z omdlenia Malczyka. Kobiety, budzone nagle ze snu, spadały ze stołów, przewracały się, krzyczały. Nie chciały ustąpić. Policjanci, z początku raczej zaintrygowani tym niespodziewanym oporem kobiet (gdy u mężczyzn wszystko poszło prawie gładko), wypychali je i zeszturchiwali ze stołów trochę żartobliwie, chwytając przy tym czasem młodsze za okrągłe części ciała. Ale nagle ten opór rozwścieklił jednego z nich. Kobietę, która nie chciała iść i trzymała się oburącz stołu, kopnął mocno z tyłu, aż z jękiem bólu upadła na stół. Prawdopodobnie w popłochu nie widział, że była to właśnie jedna z ciężarnych. Rzuciły się ku niej bliżej stojące robotnice, a Danuta Pawelkowa ogarnęła ją ramionami, widząc, że się ślania i słabnie. Policjant dał tedy Danucie po rękach, ale nie trafił na strachliwą, bo krzyknęła mu:

— Katuj! Katuj, ale mnie, nie ją! Nie widzisz to, że ona już matka!

Lament wybuchł w innym miejscu sali.

— Zabili, zabili Strączakową!! — krzyczały dziewczęta, a policjanci chwyтали je za warkocz, szarpali za suknie i pchali precz z sali. Na podłodze, w opróżnionym miejscu, w strasznych podrygach rozbijała się epileptyczka. Rozrzucone jej ręce i nogi były w podłogę drobnym, straszonym, sztywnym biciem, całe ciało podskakiwało i trzęsło się, żeby się wreszcie wyprężyć, jakby już umierała. Na zsiniałych, strasznych ustach pojawiła się obficie biała piana. Był to atak. Kobieta ta miewała czasem, słabsze wprawdzie ataki, teraz w tej chwili przyszedł silniejszy. Bratanica jej, mała dziewczyna, przyjęta na praktykę, krzyczała dziko:

— Przykryć ją! Zabójcy!! Przykryć trzeba!! Głowę unieść!! Rozbije głowę! Głowę!

I zanosła się spazmatycznym płaczem. Zrobił się istny rumor. Dwóch policjantów ułożyło na stole młodą ciężarną robotnicę, która zemdląła. Druga — ta uderzona przy stole — siedziała, otoczona przez kobiety i dyszała ciężko. Wyglądała tak, że przodownik, który nadszedł na krzyki, kazał telefonować natychmiast po karetę pogotowia.

— Jeszcze się tu zacząć rozsypywać; tego tylko brakowało! — dodał.

Epileptyczkę wreszcie przykryto. Wyprowadzano zdrowe. Prawie wszystkie kobiety coś przeszły, wnosiły sińce, kopnięcia, ale niewiele z nich płakało. Większość miała usta zwarte, jak wieka, oczy fosforujące. Przodownik (jakiś obcy, nikt go nie znał w tym mieście) mówił za nimi:

— Histeryczki, kurwy, awanturnice, komuna psia mać!

Danuta odwróciła się, poczuwając się poniekąd — z podbitym okiem i przetrąconą ręką — do części obowiązków delegackich, zleconych jej przez Malczyka i powiedziała głośno, dobitnie:

— A ty — kat! Katujesz bezbronnych ludzi i baby!

Wiedziała dobrze, że musi za te słowa zapłacić i czekała: nie ujdzie im przecie. Ale przodownik spojrział na nią z krzywym uśmiechem i powiedział półgłosem do szeregowego obok:

— Tę sprwadź osobno i zaczekaj z nią na dole. Weźmiemy ją, w razie czego, na przesłuchanie. To para do delegata.

Kiedy karetka pogotowia nadjechała, okazało się, że osiem kobiet nie może iść o własnych siłach. Były to: epileptyczka, która zapadła w swój stan niemocy po ataku, cztery ciężarne i jeszcze trzy ciężko pokaleczone kobiety. Sanitariusze w milczeniu pełnili swój obowiązek wnoszenia ich do karetki. Ale kiwali przy tym głowami i tu przodownik poczuł pewne wątpliwości: czy właśnie dobrze wypełnił polecenie władz?

Wpadła mu tu w oczy Danuta Pawelkowa między dwoma policjantami; skinął na policjantów:

— Przegonić ją precz, to ścierwo! Do domu!
Jeden z sanitariuszy dostrzegł nagle pod klatką schodową nogi Malczyka. Oczy rozwarły mu się szeroko.
— A ten? — wyjąkał — Co to?
Policjanci podeszli szybko do Malczyka, podnosząc go na nogi.
— To frajer — zagadali — ze schodów zleciał, ze snu, zamroczyło go!
Przodownik podszedł i powiedział spokojnie:
— A, to ten pierwszy, delegat ich. No, cóż, może pan iść? Chcesz do kryminału, do pogotowia czy do domu?
Malczyk zupełnie przygotowany na areszt, poczuł nagle przyływ nerwowych sił:
— Zdaje się, że mogę iść... — postąpił parę kroków. — Głowę mam stłuczoną czy co? — nie mógł się połapać.
— Głowę to masz już kupioną, przez Żydów, za dolary, żebyś Polskę sprzedawał! — zadawcipkował przodownik.
— Tak jest, święta prawda, panie przodowniku! Oni tu tak wszyscy! — sekundował mu Zielak.
Przodownik namyślał się i niespodziewanie zdecydował:
— No to panie delegacie, zbierać się do kupy i marsz do żony pod pierzynę!
Malczyk, staniając się z lekka, podążył ku wyjściu. Wychodził już chyba ostatni.

Na ulicy zakręciło mu się w głowie. Było pusto. Robotnicy musieli się śpieszyć do domów. Zamroczyło go już kilka kroków za fabryką i wsparł się o mur. Coś strasznie kłuło pod żebrem, chlupało w piersi, huczało w głowie... Czuł, że się osuwa na ziemię, i osunął się w ramiona Mitka. To on i Genka (domyślili się wszystkiego) czuwali całą noc w pobliżu, teraz od godziny, z duszą na ramieniu, wyczekiwali jego zjawienia się. Przeszli już bowiem wszyscy mężczyźni, odjechała karetka pogotowia z rannymi kobietami; pytani o Malczyka, mówili: „Oj, aresztowany! Oj, najpierwszy dostał! Oj, pobili go!”

Genka, zalana łzami, które, jak płomień gorące, schły na twarzy, cała skrzepła, z dzieckiem, skaczącym wściekle we środku jej ciała, czekała dalej. Gdyby nie Mitek, nie jego straszliwa wierność i siła, nie mogłaby już dłużej tak stać. I wreszcie... podnosili teraz oboje Malczyka. Zobaczył ją. Łzy jej zalały mu skrwawioną twarz, a usta jej, suche jak słoma, biegały oszalałe po tej jego twarzy, tak bardzo kochanej. Klęczała przy nim na ulicy, zapominając o wszystkim.

— Czy ty żyjesz, Władek? — szeptała nierozumnie. — Czy masz wszystko całe? Oczy? Nogi?! Nie zrobili ci nic gorszego?

Mitek odsunął ją łagodnie od Malczyka.

— Geniu, musimy go przecie stąd zabrać. Idźcie obok, ja go będę niósł.

Wtedy to dopiero Malczyk poznał Mitka.

— Jasiu! — powiedział — Toż ty tu, bracie, choć wyszedłem od was!! Przyszedłeś mnie ratować... Cały dzień byłeś z Genką pod bramą...

Mitek, milcząc, ładował go sobie na plecy, uginając się pod ciężarem. Gdy załadował i już niósł, głowa Malczyka nagle zwiśla bezwładnie na jego ramię.

— Władek, żyjesz? — zawołał, przystając, a Genka krzyknęła przeraźliwie:

— Władku!

— Genka, nie krzycz, bo to tak, niby drugi raz męczą tam nasze kobiety!

— Jasiu, przecież, bracie, nic mi nie jest; tylko potłukli mocno...

Długo, daleko, przystając, sapiąc z wysiłku, niósł duży chłop Jasio dużego chłopca, Władka, na barana do jego domu. Stróż już nie spał, otworzył bramę.

— Jezus, Maria! — wykrzyknął. — Pan Malczyk! Skatowali go!

I ze zgrozą na starej, zoranej twarzy wyciągnął do góry zaciśniętą pięść.

— Pomóżcie nieść, panie Wincenty — poprosiła Genka, płacząc. Świłało już dobrze i widziała teraz dokładnie zemdloną, skatowaną twarz Władka.

Gdy stróż z Mitkiem złożyli Władka na łóżku i zdjęli mu buty, w jednym z butów było pełno krwi: noga była strasznie rozbita w kostce, widać od kopnięcia. Był zresztą teraz znów całkiem bez czucia. Rozbierali go więc delikatnie: cały pobity, na prawym boku miał jakiś niesamowity siniec i ogromną opuchlinę.

— Żebra! — szepnął stary. — Czy tylko żebra całe? Pani Malczykowo, może skoczyć po jakiego lekarza?

Mitek powiedział:

— Dziękujemy wam, ja sam zaraz tu lekarza przywiozę.

Zabierał się też zaraz iść, kiedy Władek otworzył znów oczy.

— Jasiu, ty idziesz? Nie odchodź!

Spojrzeni, zdrowi, po sobie, a Mitek przysiadł zaraz przy łóżku w kucki:

— No cóż, Władziu, przytaszczę ci jakiego eskulapa⁵⁰, żeby cię narychtował, jeżeli tam co puściło... Zaraz duchem⁵¹ będę z powrotem. Nie odejdę dziś od was nigdzie.

I wtedy Malczyk, wielkim wysiłkiem woli przemagając słabość i ciągle mdlenie, z kołującymi płatkami przed oczyma, wymówił powoli:

— Żeby ci, braciszku, nie robili tam o mnie kwestii, że zajmujesz się!!! Bo że nie jestem już w waszym związku...

Zmrużył przy tym oczy do przyjaciela tak żałośnie, jakby go za coś miał przepraszać. Mitkowi cała krew lunęła do twarzy.

— Daj sobie spokój, Władku — powiedział twardo. — Jestem, będę z tobą zawsze w jednym związku! A na ten znak... — tu szarpnął z klapy marynarki swoją odznakę „za wierną służbę”, z którą się nigdy jeszcze nie rozstał — Ona tu z tobą, w tym domu zostanie! Tu mego krzyża i nasze miejsce!

VII. TEN RANEK...

Pomiędzy tą nocą a rankiem, w którym zaszły dalsze, tragiczne już, wypadki, minęły dwie długie doby, w ciągu których było może jeszcze częściowo do odrobienia (w rachunku społecznym) fatalne wrażenie owego „dełożowania” robotników. Zdawało się też, że będą po temu czynione pewne kroki. Gdy Kostrzewa z rana zjawił się w biurze, niedługo czekał na telefon wojewody. Ale jeszcze przed tym telefonem dowiedział się o zajściu, gdyż czekały już na niego delegacje obydwu związków: byłego i aktualnego opiekuna w fabryce „Szpilka”; czekało kilkudziesięciu robotników z tej fabryki, a prócz tego — mężów i ojców pobitych kobiet, przebywających w szpitalu. Nie mógł wejść do gabinetu, pomimo obznajomienia z okolicznościami podobnych zdarzeń. Zwykle potrafiłby odmachnąć skargę i gniew takim czy innym gestem życzliwości, zrozumienia, współczucia, dostać się do gabinetu (postawa prestiżu!) i dopiero tam jąć się wysłuchiwanie wszystkich skarg. Tu — napięcie skarg i gniewu było tak decydujące, że wstrzymało go w korytarzu-poczekalni. Toteż od razu złała się na jego głowę płomienna, zbiorowa skarga tych wszystkich ust; od razu skoczył mu do jego dobrych, jasnych oczu ich ostry, bolesny, ich słuszny gniew.

— Panie inspektorze! — wołali jeden przez drugiego. — To taka sprawiedliwość nad nami? To takie nasze państwo niepodległe? To myśmy o takie pochowali tylu naszych synów, ojców, mężów?!... To taka pomoc naszym żonom przy rodzeniu?! Niech pan inspektor idzie do szpitala obejrzyć tam kobiety, które rodzą po dzisiejszej nocy?! Niech pan inspektor zobaczy ich popodbijane oczy, zęby, powykręcane ręce?! A gdzie był pan inspektor?! Jak pan inspektor do takich rzeczy dopuszcza?! Przecie to bez pana inspektora nie może być!! Będziemy skarżyli do ministra! Będziemy wołali na całą Polskę!! Krzywda się nam dzieje! Nie mieliśmy takiej w fabrykach za niewoli!

Kostrzewa stał, czekając, aż się to wyładuje.

— Jak dacie mi przyjść do słowa, będę z każdym gadał! Gdybyście do mnie przyszli przed strajkiem, tobym na pewno nie dopuścił! Aha? To i waszej trochę winy się znajdzie?! Puśćcie mnie do pokoju rozebrać się i zaraz was do siebie proszę na rozmowę.

Rozstąpili się od razu.

— Prosimy, panie inspektorze. A i to prawda, że warto było może przyjść. Ale nikt już nie miał sił wierzyć. Za dużo już tej krzywdy narosło...

I tak płynęła już ta druga, mniejsza, niższa po owej dziewiątej, fala.

Kostrzewa, nie zamykając drzwi od gabinetu, zdejmował palto. Współczuł szczerze tym ludziom, znał dobrze ich słuszność i nie bał się ich. Był przecie synem robotnika,

⁵⁰eskulap — lekarz. [przypis edytorski]

⁵¹duchem — szybko. [przypis edytorski]

tak jak i portier Zielak, jak ci wszyscy. Miał za sobą wspomnienia dzieciństwa w biedzie, ciemnocie i poniewierce. Ojciec jego, tak jak Zielak, całe życie służył panom. Ale płuca jego ojca, zniszczone przez nędzę, serce, zwątlone przez nadmierny wysiłek całego życia o głódzie, musiały go wprowadzić też uczyć prawdy Zielaka: że pan zawsze górą, ale z tą prawdą mocowała się już jego wola, mocował jego nieuprawiony⁵², ale żywy umysł i to mocowanie się z prawdą Zielaka przekazał już swoim dzieciom. Dlatego to właśnie Kostrzewa w młodości brał udział w rewolucyjnej konspiracji pod zaborem rosyjskim (w konspiracji, z ewentualnością katongi i stryczka), dlatego chodził — jak słusznie wywęszył Baczyński — do Naczelnika Państwa, Komendanta Józefa Piłsudskiego, z delegacją malarolnych, o reformę rolną i dlatego też właśnie, choć się oni na niego słusznie gniewali — nie potrafił się bać robotników.

Miał ich prosić do gabinetu, ale właśnie zadzwonił telefon. Skinął więc na sekretarkę, by ich wstrzymała przez chwilę. To dzwonił wojewoda. Kostrzewa poznał od razu różne akcenty jego głosu.

— To pan inspektor Kostrzewa? Panie, więc ja swoje zrobiłem! Teraz pan musi energicznie nimi się zająć. Kostrzewa się zdziwił.

— Nie rozumiem, panie wojewodo! Pan wojewoda przecie przesądził tę całą sprawę! Wojewoda zniecierpliwił się.

— Ależ nic podobnego, panie inspektorze! Siedzi pan w doktrynach, zamiast w życiu! Nic nie przesądziłem, prócz koniecznych zarządzeń bezpieczeństwa! Teraz pan będzie łaskaw zwołać te strony; tak, na moje wyraźne żądanie! Baczyńskiego proszę przycisnąć z całym rygorem, ma załatwić wszystkie ich pretensje, to znaczy, znam mniej więcej żądania: podwyżkę dać, ustawodawstwo honorować, no i co tam jeszcze macie.

— Nie wiem, panie wojewodo, czy Baczyński zechce teraz z nami gadać! Przecie pan wojewoda...

Wojewoda przerwał mu.

— Panie! Przecie zrozum pan, nie leży na linii moich zamierzeń, żeby taki jeden z drugim Baczyński wyobraził sobie, iż wkraczałem tu dla jego korzyści, pod jego dyktando, czy pod naciskiem tych sfer! Czy pan to rozumie? Nie mogę tak stawiać polityki państwa! Ja to zrobiłem z głębokiego przekonania, dla względów natury państwowej. Otóż teraz właśnie rękami pana pokażę im i całemu miastu, że będą musiały być uwzględnione wszystkie słuszne żądania robotników! Teraz więc składam to w ręce pana! Robotnikom niech pan to podda, że ja bolszewickich faktów dokonanych, tych tam polskich strajków nie dopuszczę, ale zawsze po stronie słusznych praw świata pracy stoję. Baczyńskiego pan bezceremonialnie przycisnie, gdyby się panu stawiał. Ja jego znam: to tchórz! Zakaże mu pan jakichkolwiek konszachtów z bezrobotnymi. Ma wrócić do pracy cała załoga, bez żadnego wyjątku! Proszę pana, żeby dziś cała sprawa była zakończona, tak, żebym w poniedziałek miał tam czynną fabrykę i spokój! Do widzenia panu. Proszę o raport po zakończeniu. Czy do biura? Nie, wszystko jedno gdzie, nie wiem, gdzie kiedy będę! Najlepiej niech pan da znać sekretarzowi, on mi powtórzy.

Rozmowa była skończona.

Kostrzewa nie miał więc czasu do stracenia. Wezwał robotników do natychmiastowego wyłonienia przedstawicielstwa dla załatwienia żądań strajkujących z dyrekcją przy jego pośrednictwie.

— Macie delegata, nowego obraliście? Jest tu? — spytał.

— To Malczyk — rozległy się głosy. — Miał tu przyjść, ale w nocy sfatygowano go mocno, leżał jeszcze teraz w łóżku, żona nie wpuściła nas.

Kostrzewa zakrzętnął się żwawo.

— Idźcie tam i sprowadźcie go, przywieźcie, tu siądzie sobie w fotelu, dam mu szklanekę herbaty, jeżeli słaby. A żonie powiedzcie, że jak on wyrobi dla was podwyżkę, to lepiej się będą kochać. Niech go puści!

Robotnicy poszli, pozostały tylko rodziny pobitych kobiet i przedstawiciele związków. Wystąpił naprzód Mitek, którego Kostrzewa dobrze znał.

— No, cóż powiecie, panie Mitek! Uciekli wam ze związku i stała się taka bieda. Ale za to teraz nie wasz związek, tylko ten musi rozplątywać wraz ze mną tę chryję!!!

⁵²nieuprawiony — tu: niewykształcony. [przypis edytorski]

Mitek popatrzył na inspektora niewidzącymi oczami. Nie spał przez całą noc i przeżył przez nią kilka ciężkich lat.

— Nie o to nam idzie teraz, panie inspektorze, my, czy oni! To w tej sprawie jedno. Będziemy tu wszyscy, jeżeli pan inspektor potrafi nagrodzić te krzywdy. Ale idzie mi o te kobiety w szpitalu. Co z tym będzie? Czy to tak ma przejść? Ludzie tego nie darują!

Kostrzewa zakłopotał się.

— No, moi drodzy, przecież mnie znacie i mój stosunek do rzeczy. Cóż ja tu mogę zrobić! Dajcie mi teraz załatwić żądania robotników. Tym kobietom w szpitalu może już nic gorszego się nie stanie! Rozumiem, że was to razi, że to nie jest ludzkie. Ale naprawdę, ja muszę teraz mówić z Baczyńskim, zmusić go, by tu zjechał; to, wiecie, niełatwa sprawa, dajcie mi się tym zająć! Miałem pilne rzeczy w Funduszu, wszystko odkładam, będę to robił, aż dobiję końca, cały dzień! I tak myślę, że to przecie będzie jednak trochę wesołości w tej smutnej sprawie, jak dostaną podwyżkę.

Mężowie poszkodowanych krótko poszeptali między sobą.

— No cóż, panie inspektorze — powiedział Pawełek, mąż Danuty. — Życzymy panu powodzenia, to gromadzka sprawa! A tę naszą krzywdę kobiet naszych, to jak widać, znów schowamy w siebie! Tylko z tego grzebania takich krzywd w sercu, bez wyjścia, to wyrasta, panie inspektorze, oj gorzki piolun, gorzki! Bo przecie tu nasza ojczyzna i nigdzie stąd nie pójdziemy!! Oni, taki Baczyński, wyjadą, wylecą samolotem, a pieniądze to i tak przeważnie chowają już po obcych bankach, za Polską. My tylko, my zostaniemy zawsze w Polsce. A jak żyć z taką goryczą w sercu?

Milczeli wszyscy. Zamilkł i Kostrzewa, wymowny i mowny, bywały człowiek. Mrugał oczami, jakby od bólu. Bo ścisnęło mu się i bólem, i żalem polskie serce.

Baczyński przybył ściśle na wyznaczoną godzinę. Z początku stawiał się przez telefon, że nie widzi żadnej potrzeby, ani powodu; wywiesi ogłoszenie, ma wolną rękę; ale Kostrzewa w mig załatwił się z nim, powiedział, że dopiero co mówił z wojewodą i skoro Baczyński odmawia przybycia, to on umyje ręce, a odeśle go do wojewody; będzie też sam zaraz telefonował tam o jego odmowie. Głos miał przy tym bardzo stanowczy, wewnętrzna pasja na tego człowieka kierowała jego działaniem. Baczyński poddał się.

Przed Baczyńskim jeszcze przybył Malczyk, przywieziony dorożką. Gdy wszedł pod rękę z Mitkiem, który nie odstępował go, Kostrzewa zobaczył od razu, jak został poturbowany. Miał twarz w sińcach i plamach, usta spalone gorączką, oddychał z wysiłkiem. Ale gdy Kostrzewa, sadzając go w wygodnym krześle, zapytał, czy nic poważniejszego, Malczyk uśmiechnął się jednocześnie poważnymi oczami i zgorączkowanymi ustami. I powiedział:

— Nic mi nie złamali, panie inspektorze! Żebym tak dziś mógł poleżeć, tobym jutro sobie fajnie chodził! — po czym wyjął z kieszeni kartkę z żądaniami i zaczęli omawiać całą sprawę.

Sporo godzin trwało to wspólne ugadywanie się między nimi, inspektorem i Baczyńskim. Zanosilo się już na zakończenie (Kostrzewa bezceremonialnie przycisnął Baczyńskiego), kiedy inspektora odwołano do telefonu w innym pokoju. Dzwonił urząd wojewódzki, z polecenia wojewody. Kostrzewa więc zawiadomił, że niedługo już załatwi pomyślnie cały zatarg: żądania robotników zostaną w stu procentach uwzględnione. Ku zdumieniu swemu usłyszał w odpowiedzi:

— Już teraz tak prędko nie można, panie inspektorze! Pan siedzi w biurze, to pan nic nie wie! Te kobiety tam w szpitalu ponasiewały buntu na całe miasto, jedna zażądała spowiadać się, do cholery! Słowem, robotnicy po całym mieście łążą, krzyczą, awanturują się, tu aż pod województwo słyhać te ich „precz” i „na latarnię!” Nie starczy policji do rozpędzania — komunikował podniecony urzędnik.

Kostrzewa zaniepokoił się nie na żarty.

— To bardzo przykre, panie, ostrzegałem, to są następstwa tej nocy! Ale nie rozumiem, cóż to ma?! Tym bardziej trzeba prędej załatwić ten cały ich zatarg, to się może

uspokoją i pójdą do domów. No, a o kobietach trzeba zaraz dać do prasy, że żadnej się nic nie stanie, lekkie poturbowania.

— Ależ jest wyraźny zakaz, panie inspektorze, to jest przepraszam, ale pan wojewoda życzyłby sobie, uważa, że dziś pan inspektor nie może załatwić tych żądań. Bo to będzie wyglądało na takie podlizywanie się do robotników, na działanie pod dyktando, gdy tylko zaczęli się awanturować. Bardzo szkoda, mówi pan wojewoda, że pan inspektor wcześniej nie poszedł tą drogą. Ale teraz, ze względu na konieczność współpracy władz... Pan wojewoda bardzo prosi, dziś absolutnie nie załatwiać. Jasna sprawa prestiżu władzy, nieprawdaż?

Kostrzewa, bardzo niespokojny, wzburzony, prosił o bezpośrednie połączenie z wojewodą.

— To niemożliwe, panie inspektorze. Pan wojewoda ma pilne rzeczy z Warszawą! Zresztą pan wojewoda prosił panu inspektorowi powiedzieć, że kategorycznie prosi dziś nie załatwiać; niechże teraz poczekają!

Kostrzewa próbował jeszcze:

— No, to w każdym razie wszystko przygotuję i załatwię jednak jutro, w niedzielę. Ludzie się dowiedzą przed poniedziałkiem. Idzie mi o to, że inaczej — i to chciałbym powiedzieć panu wojewodzie — mam wrazenie, przeciągniemy strunę! Może to kosztować krwi! Chciałbym załatwić najdalej jutro!

Urzędnik pomilczał chwilę.

— Już nie wiem, jak to powiedzieć, panie inspektorze. Pan rozumie, tyle czasu się znamy, przecie nie chciałbym pana urazić... Ale pan wojewoda powiedział, że po tym, co oni teraz wyprawiają na mieście, nic nie może być im za prędko załatwione, niech się wprawdzie uspokoją... Ja sam, panie inspektorze, wcale też nie stawiam po tym wszystkim wesołych horoskopów... Tym bardziej, że to nie tylko w Szpilce była tej nocy policja... Ale cóż robić... wyraźna wola wojewody!...

Na tym zakończono rozmowę.

Kostrzewa pod jakimś pretekstem zakończył naradę, przygotowując wszystko tak, żeby zostało tylko formalne zakończenie zatargu. Baczyński musiał się zasadniczo zgodzić na poprawę stosunków w fabryce. Obie strony były bardzo zdziwione, że nie przychodzi teraz od razu to formalne załatwienie całej sprawy. Rozeszli się.

Kostrzewa z bólem głowy udał się do domu. Tam oddał się bardzo męczącym rozmyśleniom. Mówić z Warszawą? Ostrzec głównego inspektora pracy? Ministra? Ale przecie wojewoda rozmawiał już na pewno tu i tam przez telefon i miarodajnie naświetlił sytuację. Musi chyba mieć jakieś pokrycie, skoro idzie w takim kierunku! Kostrzewie błysnęła myśl: podać się do dymisji! Powiadomić bezpośrednio ministra, czym to wszystko grozi, i podać się do dymisji! Nie chce ponosić odpowiedzialności za następstwa szaleńczych wyczynów.

Wyszedł jeszcze na miasto. Ale robotników, porozpędzanych przez policję, już nie było widać w większych gromadach. Pojedynczy robotnicy, których spotykał, mieli twarze znamienne, pociemniałe od skupionej troski. Jednak — z tej wycieczki — wypłynęło znów trochę uspokojenia, jakaś skromna pożywka dla pokładów oportunisty, spoczywających w duszy: poszli przecie do domów, uspokoił się, nie wylegli tysiącami, dziesiątkami tysięcy na miasto. Może więc to wsiąknie! A w poniedziałek i tak przecie załatwi już tę sprawę. Wrócił do domu. Gdy się rozbierał do snu, zaczęła go żona:

— Słuchaj! Czy aby z tego nie będzie gorszych rzeczy? Dziś po południu na mieście wyglądało, jak przed tamtymi dniami w 1923 roku. Takie nastroje robotników...

Kostrzewa wyciągał się już w łóżku, wzdychając głęboko w takt opadającej już nieco, tak bardzo gnębiącej troski.

— Może i nic nie będzie! Ty tego nie wiesz, ale ja wiem, jak bardzo lud polski jest cierpliwy. Może i na ten raz jeszcze uspokoją się...

Z tym zasnął i pod znakiem tej nadziei przewałkował niedzielny dzień. Był zresztą w szpitalu zobaczyć robotnice, zapoznał się tam z klasyczną zaiste opinią lekarza, który badał je zaraz po przywiezieniu i zaświadczył, że:

— Doznane potłuczenia i urazy nie są tej natury, żeby mogły spowodować śmierć.

Dziesiątki robotników i robotnic, z ponurymi twarzami, wyczekiwały wyników odwiedzin rodzin. Kostrzewa zamienił parę słów ze znajomymi spośród robotników. Na jutro był ogłoszony strajk i wiec protestacyjny.

„Rozejdzie się może po kościach — pomyślał znów Kostrzewa — byle tylko tu żadna nie umarła!”

Otóż więc pod takimi wpływami powstawał ów ranek, strajk protestacyjny przeciw wkraczaniu administracji w zatargi strajkowe i przeważaniu sprawy na stronę fabrykanta.

Całe miasto widziało, jak to wszystko zaszło. Cztery tysiące robotników i robotnic wypłynęło z wiecu protestacyjnego. Nie tworzyli pochodu, nie ustawili nawet sobie żadnej straży porządkowej; szły kobiety, szły małe dziewczynki z kolekcji dzielnego majstra Zielnika. Ale przodem szli przeważnie starzy siwowłosi robotnicy z kopalń, z innych fabryk.

Gdy dostrzegli ustawione w poprzek drogi kordony policji, na czoło tłumu wysunął się siwowłosy robotnik i szedł, trzymając obie ręce wysoko wzniesione w górę. Gdy wzniosł ręce, jakaś kobieta z tyłu pociągnęła go zaraz za ubranie.

— Co to? Po co? — pytała gorączkowo. Obejrzał się w tył ku niej i ku wszystkim.

— Taki polski znak — powiedział z twardym uśmiechem — że nie mamy strzelać, że do nas strzelać nie trzeba.

Zbliżyli się do kordonu.

— Rozejść się! — krzyczeli policjanci.

Ale dokąd? Z tyłu, w wąskiej ulicy, napierał tysięczny tłum, nie pojmując przyczyny wstrzymania. Niektóre z kobiet wpadły na pomysł wydostania się z niespodziewanej opresji — niektóre pozostawiły w domach — na chwilę! — małe, niezabezpieczone dzieci... Jedna i druga podpraszała się tak do kordonu:

— Przepuście panowie! Przecie do domu, do dziecka!

Wzruszając z zakłopotaniem ramionami, puścili policjanci przez kordon kilka kobiet. Ale wreszcie jedna nie podobała się kordonowi. Miała wypieki, miała złą twarz. Krzyknęła ostro:

— I mnie do dziecka!!

Jeden z policjantów ułapił ją za rękaw i szarpnął.

— Do dziecka! — krzyknął. — A rewolucję robisz? Też dla dziecka?

Pchnął ją z powrotem. Wtedy to błady jak papier, wysunął się z tłumu Jan Mitek, ze wszystkimi krzyżami na piersiach. Zwrócił się w stronę tłumu i krzyknął jasnym, spokojnym głosem:

— Towarzysze! Który z wojska, z Legionów, Strzelca, kawalerzy krzyża, naprzód wystąp!

Na wołanie to — jeden za drugim — poczęli się wysuwać z szeregów, przed front tłumu uczestnicy walk o niepodległość, byli żołnierze. Tu policja, ustawiona naprzeciw tłumu, dała pierwszą salwę w powietrze.

— Rozejść się! — wołano jednocześnie do zamkniętego, beznadziejnie zakorkowanego tłumu, napieranego z tyłu przez dopływające szeregi. Front byłych żołnierzy na czele tłumu — ani drgnął. Bez strachu patrzyły ich oczy, nie drżały usta.

I to widziało, i rozumiało to — całe miasto: więc prócz robotników — panowie, kupcy, urzędnicy, oficerowie.

Siwowłosy, nieznany robotnik dołączył się do pierwszego szeregu, opuścił już tylko swój tragiczny symbol — ręce. W tej chwili Gałkowski nie-Gałkowski, gałkowski⁵³ — symbol wystrzelił ze środka tłumu w górę, ponad głowy kordonu. Robotnicy byli bez broni, nie zamierzali strzelać! Wszyscy zrozumieli ten strzał.

⁵³gałkowski — chodzi o typowe działania prowokatora policyjnego. [przypis edytorski]

Ale też wtedy na rozkaz, padła salwa w tłum. Rozpoczęło się żniwo śmierci...

Były to dziwne, dzikie, straszne godziny w mieście. Ludzie widzieli, jak jakiś policjant dopadł idącej skwerem kobiety i z tyłu przebił ją bagnetem. W innym miejscu inny policjant (a wszyscy mieli pozdejmowane numery z czapek) — na oczach ludzi skatował na śmierć uczniaka. Znow w innym miejscu policjant wpadł do dorożki, wiozącej na dworzec dwie starsze panie w żałobie i począł w dzikiej a niepojętej pasji okładać je gumową pałką. Akademika na rowerze, który pytał o prawo przejechania ulicy, inny zamiast odpowiedzi, dzielił pałką przez ramię. Nikt nie rozumiał, co się dzieje, dlaczego to policja w tym mieście, dalekim od wschodu, nie znającym tradycji caratu, wskrzesza z taką zajadłością najgorsze metody carskich kozaków!

Mitka, postrzelonego ciężko przy pierwszej salwie, robotnicy ułożyli na skwerze i postawili przy nim swoją robotniczą wartę. Zaraz zmarł, nie przemówił ani słowa; do końca życia bohaterски i waleczny kawaler krzyżów, bezrobotny legionista Jan Mitek. Leżał z otwartymi, pojaśnialymi oczami, jakby patrząc przez czarne jeszcze gałęzie drzew w blade, wiosenne niebo. Swoją nakaz honoru, żołnierskiego i proletariackiego wypełnił do samego końca.

Wielki był majestat jego śmierci: Czy to te krzyże, czy ten jasny, nieruchomy wzrok — coś sprawiło, że odstąpili policjanci, porządkujący skwer; że nie tknęli go sanitariusze z pogotowia, do których warta zwróciła się z prośbą:

— Zostawcie tego nam, ten już całkiem nasz...

Malczyk, który nie widział, jak padł Mitek, bo był daleko, znalazł go na skwerze późno po południu, kiedy już zacichała walka. Już wiedział, lecąc tu, że Mitek zabity. Leciła wraz z nim, szlochając, Genka. Malczyk dobiegł, zatrzymał się, jak wryty, u jego stóp.

— Cicho — kazał żonie. — Widzisz, jak on spokojnie patrzy... Straszna będzie za to kiedyś kara!

Przyklękł i próbował jeszcze, pogłaskawszy zmarłemu lodowatą twarz, przymknąć mu powieki. Powiedział przy tym jakby do siebie tylko, cicho:

— Szkoda mi, żeby kto jeszcze w oczy mu się gapił.

Powieki nie dały się już szczelnie zamknąć i tak pozostał Jasio Mitek z niedomkniętymi oczami, w których wyraz przedśmiertny był jakby wyrazem spokoju.

Malczyk poszedł do dawnego swego związku (prorządowego) i stamtąd powiadomił strzelców. Ten związek był tuż pod ręką, zresztą było to dziś wszystko jedno! Prosił kolegów na skwer, w sprawie Mitka. Przyszło zaraz sześcioro, że zgrozą odkrywali przed nim głowy...

— Wszystkie krzyże włożył, żeby ratować ludzi! — wymówił jeden.

— Taki był już człowiek — szepnął inny. — Jak złoto.

Malczyk objął komendę.

— Odniesiemy go, obywatele, wojewodzie. Inny nieboszczyk wolałby pewno do domu, no i rodzina... Jasio był sam w życiu i Jasio był do końca żołnierz, choć bezrobotny... Jasio na taką randkę może sobie iść. On do końca już wypełni, co społeczny mus... Chodź, Jasińku! Temu tam przed oczy stanąć!

Miłośnię, ostrożnie, pieczołliwie podnieśli, podtrzymywali mu głowę, tak nieśli go, jakby jeszcze czuł...

Widzieli to ludzie, dowiedziało się o tym wkrótce całe miasto. Jasio Mitek został złożony przez towarzyszy u wstępu do województwa. Tej dziwnej procesji nikt już jakoś nie potrafił przeszkodzić.

— Co panowie?! Co to, po co? — zabiegł im drogę policjant sprzed gmachu.

— A to strzelcy jesteście, żołnierze. Przynieśliśmy tu wojewodzie żołnierza, kawalera krzyżów, bezrobotnego...

— Ale co też za kawał?! Będę musiał zatrzymać, legitymować panów! A trupa... — zawahał się.

Złożyli trupa na stopniach.

— On już tu zostanie; a nas to może pan legitymować, czy też do aresztu, to już jak tam panu wypadnie! My się nie boimy. Taki był nasz obowiązek przy Jaśku do spełnienia...

Miasto ogarniał mrok... Pustki na ulicach... Patrole policji w hełmach, z bagneta-
mi... Tam i ówdzie... korzystając z zamętu, drobni złodziejaskowie upatrywali, czy nie
ma okazji do upolowania czego. Do wielkiego sklepu wyrobów skórzanych, w którym
wybito szybę (w ulicy tej tłum robotniczy usiłował zabarykadować się, zrywając w tym
celu z okien sklepów sztaby żelazne), podszedł naprzód mały uczeń, oglądając się doko-
ła. Miał skrupuły: ale w końcu wyciągnął wstydliwie z wystawy mały portfelik skórzany
i pomknął ze swoją zdobyczą. W kilka minut po nim do tej samej wystawy podeszła mło-
da, bardzo elegancka dama: upatrzyła sobie zupełnie spokojnie torebkę z ozdobą z kro-
kodylowej skóry i zabrała ją z wystawy, z miną dokonywania normalnej czynności. Ktoś
z bramy naprzeciw, chowając się od kul, widział, że przedtem ani potem nikt więcej
nie odwiedził tej wystawy po wybicciu szyby oraz że po wizycie damy wystawę obstawia już
policja, zajmując tę ulicę. To nie przeszkodziło, żeby nazajutrz zjawia się w miejscowej
prasie wiadomość o zdemolowaniu przez robotników wystawy tej firmy i o okradzeniu
jej w wysokości pięciu tysięcy złotych.

Ale to już były próby montażu legendy o zakusach wywrotowych, zamierzonej rewo-
lucji, o panowaniu mętów nad miastem itp.

W poniedziałek zaś — prócz śmierci Mitka — siedem rodzin robotniczych nawiedziła
śmierć, kilkudziesięciu rannych zwieziono do szpitali i domów. Ilu z nich jeszcze miało
przyłączyć się nazajutrz do zmarłych — nie wiedział nikt...

Taki był plon tego ranka w tym całkiem zachodnim mieście...

VIII. NABIERZ OTUCHY!

Cóż można jeszcze dodać do tej krótkiej a gorącej historii zatargu w fabryce „Szpilka”?

Chyba to, że tegoż dnia po południu zatarg został w inspekcji pracy załatwiony. Ro-
botnicy uzyskali, jak żądali, 10 procent podwyżki płac, zobowiązanie rzetelnego obliczania
ich przy wypłatach, zwolnienie z liczby robotników fabryki byłego delegata, Romana Gał-
kowskiego, zobowiązanie usunięcia „organizacji pracy” Zielak-Zielnik. Pierwsze i trzecie
— to były już realne zdobycze, co zaś do drugiego i czwartego — okazać miała dopiero
przyszłość.

Poruszenie, jakie wytworzyło się w uczniwej opinii społeczeństwa dokoła metod po-
stępowania administracji w tej sprawie, przeważały po upływie miesiąca — różne wpływy
i stosunki, za pomocą których wojewoda utrzymywał się na stanowisku po tym fackie.
A może — na zwolnienie wojewody złożyły się liczne, pobocznej natury, wypadki i zda-
rzenia polskie i międzynarodowe? Kto wie!

Potem, w dni kilka, odbywał się za zezwoleniem władz w mieście pogrzeb ofiar tam-
tego ranka. Sto tysięcy ludzi przyszło chować dziesięciu zmarłych. Prasa (ta sama, która
meldowała o stratach skórzanej firmy) podawała liczbę uczestników na trzydzieści tysięcy.
Żaden z mieszkańców miasta nie pomylił się w ocenie, która z tych liczb była prawdziwa.
Z wyjątkiem oczywiście tych, którym leży na sercu ukrywanie, zniekształcanie, przeina-
czanie rzeczywistości...

Szły tedy nieprzeliczone zastępy robotników i robotnic, inteligencji, chłopów z okolic,
karnie spięte twardą klamrą robotniczej milicji. Szły tak, krok za krokiem, prowadząc
przed sobą sztandary, oczywiście, czerwone!

Nie było związku robotniczego, który by w dniu tym chciał wyjść z innym sztanda-
rem; członkowie zaś wszelkich związków — oficjalnie czy nieoficjalnie — uczestniczyli
w pogrzebie. Tłum postępował, niosąc za sztandarami trumny poległych, wystawione
przez noc do odwiedzania i oddawania im hołdu w Domu Ludowym. Tak szedł pol-

ski robotnik, polski chłop, polski inteligent, ramię przy ramieniu, ożywieni jednakim uczuciem — czci dla poległych, protestu przeciw takim metodom postępowania.

Była to bardzo żałobna uroczystość...

Długa i bardzo wymowna była chwila zbiorowego skupienia...

Ale z tej żałoby ciężkiej, z bólu tych stu tysięcy, z horyzontów jeszcze nie jasnych, z wielkiego cierpienia ludu polskiego wyrastała już — ponad rzeczywistość, cierpienie, walkę i śmierć — wielka, zbiorowo odczuta ulga: jedność! Jedność! Wreszcie nadzieja ratunku, rękojmia zwycięstwa!

Wyrastało — niepokonane, ponad całą rzeczywistość rozpromieniające się:

Nabierz otuchy!

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krahelska-h-polski-strajk/>

Tekst opracowany na podstawie: Halina Kraheńska, *Polski strajk*, Towarzystwo wydawnicze "Rój", Warszawa 1937.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Julia Stefaniak, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Marco Bellucci@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-6208-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.